№ 11. Warszawa, dnia 5 (17) Marca 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

Ryszard Wagner.

Przez

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Wagner nie poprzestając na zwycięztwach odniesionych w Niemczech, chciwy był oklasku Paryżanów. Pamiętny doznanych niegdyś upokorzeń, pragnął ukazać się jako mistrz uwieńczony aureolą w obec tych, którzy niepoznali się na jego geniuszu.

Przybywa zatem do Paryża, najmuje salę w operze włoskiej, sam staje przed pulpitem, bierze na siebie dyrekcyą. Występuje wreszcie z pierwszym aktem Lohengrina. Okropny zawód... publiczność z lodowatym chłodem przyjmuje arcydzieło. Krytyka milczy, lub zbywa rzecz kilku ogólnikami, przyznaje Wagnerowi niejaki talent, podnosi tu i owdzie, milsze dla ucha dźwięki, zabłąkane wśród chaotycznego zamętu. Dzienniki dowcipkują niesmacznie, Wagner stał się przedmiotem pośmiewiska.

Wściekły z gniewu, zadłużony, opuszcza Paryż, nie zrywa z nim jednak ostatecznie. Bądź co bądź, zmusi go do oklasku. Jakoż w rok czy dwa później, występuje w operze z Tanhauzerem. Otóż i nowy, straszliwszy jeszcze zawód, Paryż wygwizdał arcydzieło. Pobudką do skandalicznej manifestacyi, była w części niechęć do cesarstwa, pod którego opieką wystąpił mistrz niemiecki.

Nowe tryumfy w Niemczech odniósł Wagner, przedstawieniem Tristann i Iseulty. Zdaniem krytyków, to najwyższe jego arcydzieło. Treścią dramatu miłość rycerza do królewny, którą wiedzie przez morze na małżonkę królowi Kornwalii, panu swemu. Słusznie nazwano ten utwór, czteroaktowym duetem miłosnym, ależ w tym duecie, jaka moc dramatyczna, jaka potęga uczuć, posuniętych do szału!

W tymże czasie jakby na dowód wszechstronności geniuszu, utworzył Wagner humorystyczną operę *Majstersyngery Nuremberscy*. Słynny Hans Sachs, szewc poeta, odgrywa tu pierwszą i dziwnie sympatyczną rolę.

Wybuchła wojna francusko pruska. Zwycięztwa Niemców rozbudziły w Wagnerze patryotyczny zapał i dodały mu nowego bodźca do epopei lirycznej, osnutej na tradycyach Niebelungów. Pierwsza jej część wykonana jeszcze przed wojną, odegrana była w Monachium.

Zatopiony w poważnej pracy, nie przepomniał jednak zniewagi wyrządzonej mu w Paryżu. Natychmiast po klęskach Francyi, wyrzucił z serca gorzki jad, bluznął nim w oczy pokonanym. Mówimy tu o niedorzecznej farsie w której występują skarykaturowane postacie Thiersa, Wiktora Hugo, Fabra i tylu innych. Ten pamflet dramatyczny, grano po wszystkich miastach od Berlina do Kolonii. Imię Wagnera stało się obydnem dla Francuzów, muzyka jego przezwana pogardliwie *muzyką przyszłości*, brzmiała dla nich fałszywym dysonansem. Wpływ dziesięciu lat złagodził w końcu wzajemną nienawiść. Wagner przyznał się publicznie do zbytniej porywczości, ośmieleni tem dyrektorowie orkiestr, podjęli na koncertach wyklęte partycye.

Niemcy tymczasem, pyszni z Wagnera, widzieli w nim najżywotniejszy objaw geniuszu narodowego. Zbudowano teatr w mieście Bajreuth, przeznaczony wyłącznie na arcydzieła mistrza. Teatr ten według pierwszego planu miał ozdobić stolicę Bawaryi. Ekscentryczny mistrz, ufny w królewskie względy, domagał się, aby zburzono całą

dzielnicę miasta i na jej gruzach zbudowano ogromny amfiteatr, na 50,000 osób. Wody Izery miały zasilać scenę. Król o mało że nie ustąpił, lecz gdy przyszło do wykonania projektu, cofnął się z obawy nadzwyczajnych wydatków, którychby Izba nie chciała podjąć na własne barki. Zatwierdzono więc, że teatr stanie w Bayreuth, dawnej rezydencyi landgrafów, mieście umarłem jak Wersal Ludwika XIV. Zawiązało się oprócz tego towarzystwo *Wagner verein*, upoważnione do zbierania składek po całych Niemczech.

Teatr stanął w ciągu lat czterech. Zbudowany w kształcie świątyni, panuje na wzgórzu po nad miastem Bajreuth, przezwanem dziś Mekką nowego proroka, w świecie sztuki.

Nadszedł rok 1876. Otworzono uroczyście teatr, Wagner przedstawił w całości wielką liryczną Epopeję, złożoną z czterech osobnych działów, z których każdy, miał zapełnić jeden wieczór. Na te artystyczne gody, przybyły tłumy widzów z rozmaitych stron świata. Cesarz niemiecki z orszakiem książąt, zaszczycił je obecnością swoją. Śpiewacy ze wszystkich niemieckich teatrów, wzięli udział w wielkim festiwalu. Orkiestra złożona ze stu przeszło najsłynniejszych muzyków z Wiednia, Drezna, Berlina, umieszczoną została niewidzialna w zagłębieniu nakształt fossy, nazwanem przez Wagnera *otchłanią mistyczną*.

Zobaczmy teraz owe allegoryczne dzieło, nieśmiało przystępujemy do nakreślenie jego treści. Kto zna epopeję Niebelungów, wie, że nie łatwo wysnuć z niej prosty wątek. Wagner zagmatwał bardziej jeszcze tradycyą naciągając ją do swych filozoficznych teoryi i pangermanistycznych ideałów. Jedyna loika panująca w utworze, to zwycięztwo Niemców nad światem.

Próby pod tytułem Złoto Renu (Reingold) zawiera całą mythologią rzeki niemieckiej. Alberyk król Gnomów, ukryty w pośród trzcin, przygląda się pilnie trzem Ondinom, pląsającym na fali. Jasnowłose czarodziejki Wogelinda, Welgonda i Floshilla, spostrzegłszy króla, znęcają go do siebie. Naprożno niezgrabny Alberyk przedziera się do nich przez skały, wodnice wiotkie „jak węgorze” wybiegają ze śmiechem z jego objęć. Po calodziennej pogoni zmordowany król siada na kamieniu, grozi pięścią psotnicom. Nagle promień słońca uderzył o skałę, wody Renu błysnęły złotem.

Nad tym to skarbem, czuwają trzy Ondyny, biorą się za ręce, obiegają go w pląsach.

Alberyk pełza ku dziewicom, staje tuż przy nich zasłonięty krawędzią skały. Z ich słów dowiaduje się, że ktokolwiek posiędzie złoto Renu i wykuje z niego cudowny pierścień, ten zostanie panem świata.

Lecz, aby posiąść ten skarb, trzeba koniecznie wyrzec się ułud ziemskich, rzucić klątwę na miłość. Alberyk gotów to uczynić, odpowiada ponuro na wesołą pieśń Ondyn:

Ha! do śmiechu wam ochota,
A więc śmiejcie się w ciemności,
Zgaszę słońce po nad wami,
Upowiję was chmurami,
Skuję pierścień z tego złota,
Precz ode mnie, precz miłości!
Niech na wieki Ren pamięta,
Bądź przeklęta! bądź przeklęta!

Król rzekłszy to zanurza się w głąb' fali. Stary Ren kipi gniewem, wylega z łożyska, woda zalewa całą scenę.

Ustaje wreszcie powódź. Na promienistym szczycie góry, budzą się ze snu bogowie. Wotan siedzi obok Fryki, małżonki swojej. Bóg Frok (wesoły), pogląda na półsenną Frykę. Wotan rozkazał olbrzymom zbudować na poblizkiej górze wielki warowny zamek, nową siedzibę bogów. Budowa już skończona, olbrzymy wołają o zapłatę. Tą zapłatą ma być jasnowłosa Freja, bogini piękności. Ale bogowie ociągają się z oddaniem ulubienicy swojej, wchodzą z olbrzymami w umowę. Jeżeli ci zrzekną się uroczej bogini, to tylko pod warunkiem, że Wotan odda im zaklęte skarby Niebelungów. Wotan powołuje Lokego, boga kłamstwa i podstępu, rozkazuje mu pochwycić biednego Alberyka. Jakoż Loke przyprowadza go, skrępowanego w troki. Odbierają mu cudowny pierścień. Dwaj olbrzymi Farold i Fafner wydzierają sobie ów talizman. Farold pada trupem powalon ręką brata.

Nagle pierzchają chmury, tęcza jasnym półłukiem, łączy wierzchołki dwóch gór. Przez tę promienistą bramę, orszak bogów podąża do warownej Walhalli. Na tem kończy się prolog.

Druga część nosi tytuł Walküre. Scena odbywa się w chacie germańskiej z czasów pierwotnych. Jestto poprostu ogromny jesion z konarami opuszczonemi w kształcie dachu. Siegmund błądząc po lesie wstępuje tu na wypoczynek, zastaje siostrę swoją Sieglindę porwaną przez Hundinga, nieprzyjaciela swego rodu. Dwaj wrogowie spotykają się groźno: walka jutro nastąpi. Tymczasem Siegmund uprowadza nocą Sieglindę. Hunding pędzi za nim w pogoń, dościga zbiegów. Zapaśnicy walczą wśród grzmotów i błyskawic. Siegmund pada ugodzony. Walkirge ocalają Sieglindę.

Drugi obraz ukazuje te wojownicze dziewice na szczycie góry, wykrzykują bojowe hasła. Popłoch wielki pomiędzy niemi, Wotan bowiem srodze ukarał jednę z nich Brunhildę, za opiekę daną Siegmundowi. Określona kołem ognistem, spać ma pod cieniem świerku dopóki nie zbudzi jej ziemski bohater, dzielniejszy od nieśmiertelnych bogów.

Tym bohaterem, w trzeciej części epopei jest Siegfried, syn Sienglindy i Siegmunda.

Przyszedł on na świat w ciemnej pieczarze, gdzie ma kuźnię Onim brat króla gnomów. Wychowany przez cudownego kowala Siegfried, zabija smoka, który strzegł skarbu Niebelungów, zabiera mu hełm i cudowny pierścień.

Krew potwora, trysła mu na palec, gdy dotknął nim ust, spostrzegł że rozumie śpiew ptactwa.

Drobna ptaszyna podlatuje w górę, powtarza bezustanku: „piękna niewiasta dla ciebie, tam u stóp góry, jeśli dotrzesz do niej przez płomieniste koła”. Siegfried idzie za śladem ptaszyny, dochodzi do świerku, pod którym śpi Brunhilda, Rzuca się przez płomienie, budzi ją pocałunkiem.

Następuje wreszcie część czwarta, najdziwniejsza i najbardziej skomplikowana. Tytuł jej *Goetter daemerung*, czyli *Zmierzch Bogów*.

Siegfried zaślubił Brunhildę, mieszkają w grocie pod górą otoczoną płomieniem. Jednostajna samotność zbyt cięży Siegfriedowi. Bohater spragniony silnych wrażeń, opuszcza żonę udaje się na dwór króla Guntera. Na tym dworze włada wyłącznie Hagen brat królewski.

Od młodu rozpasany na wszelkie zbrodnie, jest on żywym wcieleniem złego. Z jego namowy Gunter zamierza porwać z jaskini małżonkę Siegfrieda. Siostra króla Gundruna, dopomaga w tem bratu, podaje Siegfriedowi napój odbierający pamięć. Bohater zapomina, iż ma żonę. Uwikłany w sidła Gundruny, przebiera się za Guntera, wykrada dla niego Brunhildę. Ta opiera się z razu, w końcu idzie za nowym małżonkiem. Gunter, który czeka ukryty w zaroślach, zastępuje miejsce Siegfreda u jej boku, lecz ona nie widzi tej zamiany, przybywszy dopiero na dwór królewski spostrzega własnego męża obok uwieńczonej w kwiaty Gundruny. Przystępuje do niego z gniewem, ale Siegfried wcale jej nie poznaje.

Brunhilda miotana zazdrością i żądzą zemsty, zmawia się z Hagenem i Gunterem na zgubę Siegfrieda. Jadą na łowy, przybyli na brzeg Renu. Podczas gdy kruki ulatują nad głową bohatera, Hagon godzi go włócznią w plecy. Na widok trupa Brunhilda rozkazuje wznieść ogromny stos i złożyć na nim ciało. Wydziera z rąk żołnierza pochodnię, zapala stos, dosiada cudownego bieguna, jednym zamachem rzuca się wśród płomieni. I otóż wody Renu wzbierają nagle, wylewają z łożyska. Ondyny ukazują się w pośród fal. Podczas, gdy Hagen usiłuje zdjąć pierścień leżącemu na stosie Siegfriedowi, wodne dziewice pociągają go na dno. Jedna z nich podnosi w górę czarodziejski talizman Niebelungów, i w tejże chwili powstaje burza, piorun uderza w Walhallę, postacie bogów bledną, zacierają się zwolna i nikną jak mgła w blasku zorzy.

Tak się kończy olbrzymia kompozycya, którą przed laty siedmiu, Wagner zdziwił świat artystyczny w Bayreuth. Czarodziejski wątek poematu, ciemny i poplątany dla nas, nierównie jaśniej przedstawia się Niemcom, dla których postacie Siegfrieda, Guntera, Brunhildy i innych bohaterów narodowej epopei, równie są popularne, jak u nas postacie Krakusa, Wandy i kołodzieja Piasta. Dodajmy do tego całą fantamagoryą wystawy, owe płomieniste koła, owe starogermańskie puszcze i gorejące stosy, owe fale Renu toczące się nie sztuczną ale prawdziwą wodą!... dodajmy nadewszystko, porywający urok muzyki, pełnej potęgi i oryginalności, a łatwo przyjdzie nam pojąć, jak wielki czar Niebelungi wywrzeć musiały na słuchaczów.

Odtąd Wagner zamieszkał stale w Bayreuth, w przepyszne j willi zbudowanej według własnego planu. Fronton jej zdobią freski wyobrażające sceny z Niebelungów. Obrazy, posągi i wszelkiego rodzaju arcydzieła, pomieszane z mnóstwem egzotycznych roślin i kwiatów, czynią dom mistrza istną świątynią sztuki. Willę tę Wagner nazwał *Wahnfried*, co znaczy *złudzenie spokoju*, ale w pobliżu niej za kląbami róż, w cienistym gaju, zbudował sobie inny, ciaśniejszy domek, przycieśnięty wielką bryłą granitową, w którym spodziewał się znaleźć, już nie ułudny, ale prawdziwy spokój.

W rozkosznej willi swojej, Wagner wykonał nową pracę, owego Parsifala, który przedstawiony kilka miesięcy temu był dla niego nowym i ostatnim tryumfem.

Przedmiot lirycznego dramatu, wysnuty z tychże samych mythów bretońskich, co posłużyły za wątek do Lohengrina z tą różnicą, że Parsival jest uosobieniem wyższego ideału. Ów bohater siłą niewinności, zwycięża zasadzki w jakie czarownik wsparty mocą piekielną wciągnąć go usiłuje. Walka dwóch potęg *dobra i zła*, światła i ciemności, oddana z wielką siłą geniuszu, kończy się zwycięstwem prawdy, w sposób w jaki nasz genialny poeta, zakończył mistyczny swój dramat z *Galilei vincisti!*

Zmordowany pracą i odbieranemi hołdami, Wagner zapragnął odetchnąć w zimie pod włoskiem nie-

bem. Wyjechał z rodziną do Wenecyi. Tam śmierć nagle go zaskoczyła w siedmdziesiątym roku życia, ale w pełni siły twórczej, wśród marzeń o dalekich wędrówkach na wschód, do ojczyzny Homera, a nawet do podnóża Himalai, gdzie w zdroju staro-aryjskich mythów pragnął zaczerpnąć pobudki do przyszłych swych arcydzieł.

Zostawiamy specyalistom ocenienie muzyki Wagnera, dodamy tylko, że sami krytycy francuzcy, ochłonąwszy z dawnych niechęci i uprzedzeń, uznają go dziś twórcą nowej szkoły, która silnie oddziałała, tak na francuzkich jak na włoskich kompozytorów. Wpływ ten widoczny w ostatnich utworach Werdego, Musseneta i Henryka Boito.

Oprócz lirycznych poematów do oper, Wagner pisał wiele rozpraw o sztuce. Prace jego literackie drukowane są w ośmiu tomach.

Pozostawił też jak mówią liczne rękopisma a w nich ważne materyały do obszernej biografii.

Szczęśliwa.

Jam tak wesoła, taka szczęśliwa!
Pan Bóg mi zesłał stróża anioła,
Co mnie od cierpień skrzydły okrywa,
I lube twarze widzę do koła.

Życie mi ściele pod stopy róże,
Od ciepień chronią skrzydła anioła,
Ja nie wiem co to gromy i burze,
Nigdy nie miałam chmurki u czoła.

Szesnastą ledwie zaczęłam wiosnę—
Ludzie tak dobrzy, ślicznie na świecie!
Rzucam spojrzenia w przyszłość radosne,
Bo ona wieniec z kwiatów mi plecie.

Wy się gniewacie, że ja się śmieję?
Jak się nie cieszyć? kocham swobodę,
Miłość przyrody serce mi grzeje,
Dla ludzi bije me serce młode!

Modlę się, kocham, na własnej glebie
Rosnę by kwiatek, już chyba przecie,
Chyba nie może lepiej być w niebie,
Tak mi tu dobrze na Bożym świecie!

M. P.

ODWET.

KARTKA Z ŻYCIA

przez

E. ZORJANA.

(Dokończenie.)

V.

Wacław witał przyjaciela.

— No mówże mój drogi jak się macie, co tu u was słychać? — pytał z pośpiechem.

Bolesław na całą odpowiedź machnął ręką.

— Ależ na Boga, co tu się stało?

— Ot, lepiej nie mówić nawet. Jestem bezradny, bezsilny. Tu chyba pomoc nieziemska wyprowadziłaby mnie z tego położenia.

— O pomocy pomyślimy, nadziei tracić nie można, opowiadaj tylko wszystko dokładnie, szczegółowo.

— Wierzaj mi opowiadać nie ma co. Pójdziesz, zobaczysz sam.

Wacław już nie nalegał. Widział smutek wielki, a nie miał nawet pojęcia o tem, co w jego nieobecności się stało.

Zajęty cały dzień nie miał zresztą nawet czasu na wypytywanie.

Wieczorem poszli do Studzińskich.

Pani witała ich chłodno. Ciągle teraz udawała chorą. Żaliła się, że ją głowa boli.

Wacław postąpił ku Helenie.

Podała mu rękę.

Trzymał tę dłoń i wpatrzył się w jej twarz. Przerażenie odbiło się na jego licu. Rozumiał wszystko. Niemy dramat, który się tu rozegrał stanął mu przed oczyma.

Nie wiedział co mówić. Patrzał tylko ciągle i długo przytrzymał rękę Heleny.

Usiedli dookoła stolika.

Trudno było jakoś zawiązać rozmowę. Wreszcie zapytała pani o zajęcie Wacława, o sposób życia na wsi. Wacław opowiadał obszernie, szczegółowo. Nie pominął nawet tak ważnej dla niego okoliczności, jak pojednanie się ze stryjem. Rozmawiał najwięcej z panią, ale patrzał ciągle na Helenę. Widok jej mówił mu tak wiele o tem co przecierpiała, że i pytać nie potrzebował.

Dobrze mówił Bolesław:

— Zobaczysz sam.

Nie bawili długo.

Wacław usiedzieć nie mógł spokojnie. Paliła go jak gorączka myśl o niegodziwości tej matki, na której ofiarę patrzał.

— I ty mi nic nie pisałeś? — przemówił do Bolesława gdy wyszli.

— Cóż było pisać, poradzić na to nie może nikt.

— Jakto nikt? — zapytał porywczo. — To łatwo sobie powiedzieć: nie poradzi nikt i bezczynnie założyć ręce. Na to musi się poradzić, tak zostać nie może!

Bolesław milczał.

— Ależ powiedz mi — pytał Wacław — jak się to stało?

— Bardzo prosta rzecz. Stara ją maltretuje, mówi, że ja ją bałamucę, nie myślę się wcale żenić, że zresztą... nie mam o czem się żenić...

— Cóż ty na to?

— A... cóżbym mógł powiedzieć. Zaprzeczyć nie mogę. Ma racyę. Mam tyle ledwo, że wyżyć mogę skromnie, prawie biednie, na utrzymanie żony to za mało. Matka musi dbać o przyszłość swojej córki.

— A czyż ty nie widzisz, że to Helenę zabija?

— Ha! gdybym nie widział, bolałbym wtedy tylko sam, byłoby mi lżej.

Wacław zamyślił się.

— Nie, tak zostać długo nie może — mówił sam do siebie — na to musi się znaleźć ratunek.

Nie wiele już mówił o tem z Bolesławem. Widział, że ten stracił głowę zupełnie, był przygnębiony, bezwładny. Wacław postanowił myśléć i działać za wszystkich.

Odtąd już nie miał chwili spokojnej. Myślał ciągle, chodził do Studzińskich częściej i zdawał się szukać drogi wyjścia.

Raz poszedł wieczorem bez Bolesława.

Matka widocznie przyjęła go życzliwiej. Była rozmowniejsza, na ból głowy się nie skarżyła. Słuchała opowiadań Wacława, zapytywała o najrozmaitsze rzeczy, słowem zmiana była widoczna. Zastanowiło to trochę Wacława, ale nie trudził się domysłami, postanowił tylko korzystać ze sposobności. Przyszło mu to tem łatwiej gdy matka się odezwała:

— Możebyś Helenko co zagrała, pan Wacław tak lubi muzykę.

— Osobliwie gdy panna Helena gra — podchwycił Wacław. — Istotnie, tak dawno nie słyszałem jej grającej.

Helenka posłuszna wstała od stołu.

Matka wyszła do kuchni.

Helenka stała chwilę patrząc błędnie przed siebie okiem zapadłem; postąpiła ku fortepianowi, ale osłabienie było zbyt wielkie, ażeby je pokryć mogła.

Wacław podał jej ramię.

Czuł lekkie, chorobliwe drżenie. Wziął ją za drugą rękę i uścisnął gorąco.

— Panno Heleno, pani jesteś chora, co pani jest?

Uśmiechnęła się boleśnie.

— Siły mnie opuszczają.. trzeba będzie odlecieć...

— Na miłość boską, co pani mówi, tak się nie godzi — przerwał Wacław żywo.

— Cóż robić, żegnając ziemię, nie żegnam wcale raju — odpowiedziała z tym samym uśmiechem.

— A Bolesław? — zapytał z naciskiem Wacław.

— Pan wiesz wszystko. Żyć nie mielibyśmy z czego, tak mówi mi zawsze mama, więc pocóż koniecznie żądać życia.

Wacław popatrzył na nią bacznie.

— Pani tego mówić nie powinnaś, tego mówić nie wolno, to byłoby samobójstwem!

Usiadła zmęczona, bezsilna do fortepianu.

— Kiedy żyć nie mam siły...

— Panno Heleno, niech pani tego nie mówi, ja panią błagam... w imieniu tego, który panią kocha, którego pani kochać powinnaś — zawołał Wacław z czułością i zbliżył jej zimną rękę do ust.

— Gań mnie pan, mów co chcesz, ale ja przyznaję się otwarcie, nie mam odwagi żyć, ani nadziei szczęścia wmówić w siebie nie mogę.

— I to jest właśnie złem. Z nadzieją rozstawać się nie wolno nikomu, cóż dopiero pani.

— Mnie?!...

Weszła matka.

Helena zagrała mazura Szopena. Wielki ból i smutek, co się w szopenowskich kompozycyach podszywał pod wesołą na pozór nutę, znalazł w grze Heleny wierne odbicie. Pewno nie wielu tak grało z tak wielkiem uczuciem.

Przewracając kartki, szepnął Wacław Helenie.

— Odrobinę odwagi, proszę nie tracić nadziei.

Dziś zabawił u Studzińskich dłużej niż zwykle Matka była niezmiernie ujmującą. Wacław ją może zrozumiał, lecz nie chciał rozumiéć.

Wyszedł w dziwnem usposobieniu. Po raz pierwszy uczuł w głowie jakiś chaos. Nie mógł sobie z niego zdać sprawy. Czuł tylko, że musi działać, że nie może pozwolić zginąć dziewczęciu,

które chyliło się do grobu. On rozumiał ją zupełnie. Biedna zabijała się powoli. Praca natężająca bez wytchnienia i cierpienia moralne, były bronią samobójczą. Mogła im uledz mimo swej woli tym bardziej gdy brak nadziei podsycał ich działanie.

Nie powrócił do domu. Długo jeszcze, długo błądził po ulicach, pustych teraz i ciemnych. Złamana, zbolała postać Helenki ciągle mu stała przed oczyma.

Kiedy go wieczór Bolesław zapytał o Helenę, odpowiedział:

— Źle. Smutna jest i chora. Trzeba koniecznie temu zaradzić.

— Ale jak?

— Jak, jak — odpowiedział porywczo trochę Wacław — w tem właśnie sztuka. Trzeba myśléć, ratunek sam nie przyjdzie.

Ciemno już było w pokoju i obaj przyjaciele zdawali się spać. Wtem cicho wstał Wacław, zapalił świecę i zasiadł do pisania. Pisał prędko, złożył list w kopertę i z nową jakąś myślą położył się.

Upłynęło dni kilka.

W położeniu naszych znajomych nie zmieniło się nic. Helena była chora chociaż chodziła dzień cały i pracowała. Ledwo wymógł na niej Wacław, który teraz przychodził prawie co dnia, że wczas odkładała robotę i nigdy w noc nie siedziała. Bolesław był smutny, ale zawsze bezradny.

— Pójdź do twego naczelnika — powiedział mu jednego dnia Wacław — przypomnij mu się, proś raz jeszcze o przedstawienie cię do awansu.

Bolesław poszedł i wrócił naturalnie z zapewnieniem bardzo przychylnem. Ale już teraz nie wierzył w te obiecanki.

— Ja tam już w nic nie wierzę, biednemu zawsze wiatr w oczy.

— Tak, tak — zawołał Wacław — strać głowę, fantazyę i zdaj się na niełaskę losu. Czy ty nie wiesz, że z fortuną trzeba się borykać. Czego nie da dobrowolnie, należy jej wydrzéć siłą, mocą.

Bolesław machnął ręką.

— Robisz zupełnie wrażenie mazgaja — wyglądasz, jakbyś już wszystko na świecie stracił. A tak przecie nie jest. Przypomnij sobie tylko, że i ja tak wyglądać musiałem, kiedyś ty mnie wziął w opiekę. Myślałem wówczas, że już wszystko przepadło, że zginę za dni kilka z głodu. Nie ufałem nic pracy, ani wiedziałem o własnych siłach. Dziś widzisz jaka we mnie odmiana.

— Prawie ci zazdroszczę.

Tymczasem pani Studzińska coraz życzliwszą była dla Wacława. On korzystał z tego, przypochlebiał się nawet teraz bardzo.

Sprytny był, więc udało mu się w bardzo krótkim czasie zjednać sobie matkę zupełnie. Helena mu ufała i słuchała rad życzliwych.

Jednego dnia powiedział do matki, gdy Helenki w pokoju nie było.

— Panna Helena jest chora, niech pani wezwie pomocy lekarza, nie trzeba nigdy zaniedbywać zdrowia. To co w początkach jest drobnostką, potem może się stać chorobą uciążliwą.

— Ma pan racyą — odpowiedziała matka — trzeba będzie pomyśléć o tem.

— Nawet nie myśléć, tylko zaraz jutro to zrobić, ja panią o to bardzo proszę — dodał.

Matka mu ulegała.

— Nie wiem kogoby zawezwać?

Wacław wymienił lekarza.

Jakoż nazajutrz wezwali go, który znalazł stan choroby bardzo niebezpiecznym. Powiedział matce bez ogródki, że to w najwyższym stopniu wycieńczenie sił i że jeśli się temu zaraz nie zaradzi, to bardzo łatwo, nawet pewnie nastąpią suchoty galopujące.

Matka przeraziła się bardzo. Tak źle jej się stan choroby nie przedstawiał. Ale lekarz był znany jako specyalista i bardzo sumienny. Trudno było nie wierzyć.

Wieczór powiedziała Wacławowi, że lekarz kazał wyjechać na świeże powietrze.

— Jakże się cieszę — zawołał Wacław — że taką radę dał lekarz.

— Trudno to będzie dla nas — powiedziała Studzińska.

— Ależ przeciwnie, państwo musicie wyjechać i to zaraz, bo tu nie ma co zwlekać, im prędzej tem lepiej.

A potem zbliżywszy się do pani Studzińskiej, dodał:

— Ja panią o coś bardzo proszę.

— O cóż?

— Ale mi pani nie odmówi?

— Nie wiem—odpowiedziała tonem, w którym można było odczuć radość.

— Chciałbym mieć pewność wpierw, nim poproszę.

— Najchętniej dla pana zrobię, jeśli to tylko będzie możebnem.

— Pojedziecie państwo na wieś do mojego stryja. Tam jest śliczny dworek osobny nad rzeczką, którego nikt nie zamieszkuje.

— Ależ... jakżeby to być mogło?!

— Stryj właśnie mi pisze, żeby go to bardzo cieszyło, gdyby ktoś chciał tam zagościć. Dla starego pustelnika byłaby to rozrywka.

— Więc pan pisałeś o tym projekcie?

— Pozwoliłem sobie, pewny, że mi pani tej drobnostki nie odmówi. Jestem przekonany, że panna Helena tam za kilka tygodni wyzdrowieje, będzie wyglądała jak róża.

Weszła Helenka.

Matka powiedziała jej o propozycyi Wacława.

Helenka spojrzała na niego z wdzięcznością. Ona rozumiała go dobrze. To było wszystko dla przyjaciela.

Mówiono długo jeszcze o tem. Wrzeszcie zgodzili się wszyscy. Ojciec miał zostać we Lwowie. Matka z córką postanowiły już za kilka dni wyjechać.

Tego samego dnia opowiedział Wacław wszystko Bolesławowi.

W milczeniu uścisnął dłoń przyjaciela.

— Trzeba się pójść pożegnać — mówił Wacław — tylko proszę cię, zrób to jak najchłodniej. Dla matki bądź bardzo grzeczny, dla córki tak samo, ale niczem nie zdradzaj twego serca. Zamiast słów któreby mówiły o uczuciu rzuć kilka komunałów.

Bolesław patrzał zdziwiony.

— Nie rozumiem cię.

— Ale Helena zrozumie cię najzupełniej. Proszę cię raz jeszcze zrób tak. Mnie to jest koniecznie potrzebnem — dodał.

— Tobie?!

— Że też tobie wszystko trzeba tłomaczyć. Musimy matkę uspokoić. Niech się jej zdaje, że ty się już usuwasz zwolna, nie będzie maltretowała Helenki.

— Ale Helenka?

— Bądź o nią spokojny. Kocha cię, to ci powinno wystarczyć. Ja jej zresztą wszystko powiem.

Bolesław uległ. Czy dał się przekonać nie wiadomo, ale był jakoś smutny i bardziej milczący niż przedtem.

Helenka z matką pojechały.

Bolesław dowiadywał się u ojca o zdrowie Helenki i cieszył się coraz to lepszemi wiadomościami. Wiadomości tych udzielał mu zresztą często i Wacław, który teraz raz poraz odwiedzał stryja.

— Nie uwierzysz jak się Helenka prędko ożywiła. Rumieńce wróciły, już nawet wraca dawna wesołość i swoboda. Wczoraj, gdym odjeżdżał widziałem ją kołyszącą się w czółenku. Była zachwycająca.

Mówił to sam z zachwytem.

Ale Bolesław milczał. Nawet nie dziękował przyjacielowi za tę wiadomość, którą się przecież bardzo cieszyć powinien.

Wacław go rozumiał.

Nie tłomaczył mu się wszakże, uśmiechnął się sam do siebie i sam przed sobą ukrył ciche westchnienie.

Uśmiechnął się, gotując szczęście przyjacielowi. Westchnął, nie wiedziéć dlaczego. Czy go może bolało, że mu przyjaciel niedowierzał, czy...?

* * *

Drugi już miesiąc upływał od czasu wyjazdu Helenki z matką. Bolesław tęsknił, ale zarazem zapadał w ciężką apatyę. Naturalne to było. W biurze nie mógł się doczekać zmiany, zwątpienie spowodowało martwotę.

Razu pewnego wpadł Wacław do domu nadzwyczaj uradowany. Śpiewał, cieszył się, skakał prawie z radości, a nie mówił, co go właściwie tak uszczęśliwiało. Bolesław patrzał na to i wzruszał ramionami.

Wacław krzątał się po pokoju i wreszcie powiedział:

— Jadę do stryja.

Bolesław nie odpowiedział nic na to. Trochę tylko spochmurniał.

— Cóż każesz powiedziéć twojej Helence?

— Powiedz, że się cieszę jej zdrowiem...

— Więcej nic?

— Ludziom bez utrzymania i przyszłości więcej mówić nie wolno.

Wacław rozśmiał się na całe gardło. Zagwizdał jakąś aryjkę i nie mówił nic więcej.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Zimno bardzo żegnał przyjaciela Bolesław.

* * *

Co się tam na wsi działo nie będziemy opisywali. Dość, że czwartego dnia wrócił Wacław jeszcze weselszy.

Bolesław był za to posępniejszy.

— Kochany, drogi mój Bolku—wołał Wacław, rzucając się zachmurzonemu przyjacielowi na szyję — żebyś ty wiedział jaki ja jestem szczęśliwy...

Bolesław drgnął.

— Ah, tak, tak, bardzo jestem szczęśliwy. Pierwszy to raz w życiu.

I nie zwracając niby na to uwagi, że Bolesław zbladł cały i dziwnie zapalonym patrzał wzrokiem dodał wesoło, trzpiotowato:

— Śliczne będziemy mieli wesele.

— Czyje? — wymknęło się Bolesławowi, a bladość, jakby kreda, oblekła mu twarz.

— Jakto? nie wiesz? A, prawda zapomniałem ci powiedzieć.

Szukał czegoś w kieszeni, a znalazłszy urzędowy jakiś dokument podał go Bolesławowi.

— Podpisz to proszę cię.

Bolesław spojrzał na papier.

— To?

— Naturalnie, twoja nominacya. Jeszcze przed wyjazdem dał mi ją wuj. Tymczasem ta posada była wolna, powiedział, że niedługo będzie drugi awans.

Bolesław osłupiał. Miałożby to być prawdą? W ręku trzymał nominacyę na posadę urzędnika kolei z płacą tysiąca reńskich. Wierzyć nie chciał własnym oczom. Po chwili ocknął się dopiero. Rzucił się na szyję Wacławowi i tylko:

— Bóg zapłać — powiedział.

— A wesele? — zapytał po chwili.

— Naturalnie twoje—odpowiedział Wacław.— Oświadczyłem cię formalnie. Pojutrze pierwsza zapowiedź. Wesele u nas na wsi.

Bolesław tulił się do piersi przyjaciela.

— Czem ja na to zasłużyłem?...

— To tylko dług. Za życie, radbym ci zapłacić szczęściem.

* * *

Wacław już nie spoczął ani chwili. Krzątał się około szczęścia swego przyjaciela, chciał uświetnić jego wesele. Jeździł tam i napowrót przez trzy tygodnie, aż wreszcie nadeszła chwila w której poprowadził Helenę do ołtarza.

Dnia tego był bardzo poważny. Kiedy go o to pytali, odpowiadał:

— Dziś się nie godzi trzpiotać.

Ksiądz pobłogosławił młodą parę. Organista hucznie zagrał *veni creator*, stryj Wacława gospodarzył młodym i gościom.

Nie tłumno było, lecz wesoło, serdecznie.

Tylko Wacław zaraz po ślubie gdzieś zniknął.

Bolesław go szukał i znalazł samotnego, w jednym z oddalonych pokoi.

— Nie dobryś mój Wacławie, aż dotąd nas wiodłeś, a teraz opuszczasz — mówił z wyrzutem przyjacielskim.

— Trochę zmęczony jestem. Dopiąłem celu. Widzę was szczęśliwymi. Teraz wolno mi spocząć. Bawcie się wesoło, jak najweselej...

— Ależ chodź do nas, ciebie nam brakuje. Helena się pytała gdzie jesteś i kazała cię przyprowadzić.

— Zostaw mnie, proszę...

— Tego nie mogę zrobić, bez ciebie my nie będziemy weseli.

— Głowa mnie boli, mój drogi, miewam silny zawrót, teraz właśnie tego doświadczyłem. Spocznę trochę, może później do was przyjdę.

Bolesław żałował bardzo, że traci w tej, tak wesołej dla niego chwili towarzystwo przyjaciela.

— Idź no, idź. Tam na ciebie czeka żona...

Pierwszy raz Helenkę nazwał Wacław żoną Bolesława.

Bolesław poszedł. Przyjaciel jego, któremu całe prawie szczęście zawdzięczał, został sam.

— Żona...

Przyłożył rękę do skroni, wsparł głowę, na której ból się skarżył i przysłuchiwał się dolatującej go ochocie weselnej...

KONIEC.

Korespondencya z Londynu.

Zagrażająca społeczeństwu ciągle zwiększająca się liczba zbrodniarzy i włóczęgów, nawet w pośród dzieci.— Towarzystwo wstrzemięźliwości. — Towarzystwo psyhiczne. — Posąg Carlyle'a. — Zamierzona kanonizacya Tomasza Morus. — Teorya Symes'a. — Utwory dramatyczne Tennyson'a.

(Dalszy ciąg.)

Silne wywarła tu wrażenie uczyniona przez Rzym propozycya kanonizacyi sławnego Tomasza Morus, kanclerza Anglii za Henryka VIII. Coraz zwiększająca się, szczególniej w wyższych sferach społecznych angielskich, liczba katolików, wieść tę przyjęła z radością, protestanci jedni mniej więcej obojętnie, inni z przerażeniem, widząc w tem jakby zapowiedź odrodzenia się katolicyzmu. Tomasz Morus (ur. w 1480 r.) był w młodości paziem kardynała Mortona, a następnie skończył wydział prawny w uniwersytecie Oksfordzkim. Przedstawiony Henrykowi VIII pozyskał jego względy i stopniami doszedł wysokiej godności Wielkiego-Kanclerza. Był on jednym z najuczeńszych mężów swego czasu, znakomitym politykiem i prawnikiem, a prócz tego odznaczał się nieposzlakowaną prawością i szlachetnością charakteru. Gdy Henryk VIII zerwał z Rzymem dla samowolnego przeprowadzenia rozwodu z żoną swoją, Katarzyną Arragońską, Tomasz Morus złożył swój urząd nie chcąc przyjmować udziału w sprawie przeciwnej prawu i sumieniu. Król kazał skonfiskować jego majątek i zamknąć w więzieniu, gdzie trzymany był przez 13 miesięcy o głodzie i chłodzie, starając się zmusić go tym sposobem do uznania Henryka VIII głową kościoła. Nie złamało to hartu jego duszy, odpowiadał zawsze, iż jako katolik uczynić tego nie może. Sławną jest odpowiedź dana żonie, która lękając się o jego życie, pragnęła nakłonić, aby zaprzestał sprzeciwiać się woli króla.

— Jak myślisz, moja droga, zapytał jej, ile też lat jeszcze żyć mogę?

— Przeszło dwadzieścia, odpowiedziała.

— O! moja biedna przyjaciołko, jakże możesz żądać abym przehandlował wieczność, za marne dwadzieścia lat ziemskiego żywota.

Oprócz głębokiej nauki, Tomasz Morus słynął z dowcipu, a epigramy jego dotąd powtarzają. Pisał wiele, tak po angielsku jak po łacinie. Życie jego było tak czyste i wzorowe, serce ożywione tak głęboką wiarą, iż można wierzyć w iego świętość, nie wiadomo jednak jeszcze czy rząd zgodzi się na kanonizacyę.

Sąd złożony z zauszników Henryka, skazał go na tortury „za zdradę Stanu" król zamienił ją na ścięcie i wyrok wykonany został d. 6 lipca 1535 r. Zachował do śmierci spokój ducha i swobodę umysłu. Wszedłszy na rusztowanie, ukląkł przy klocu i odsłaniając długą brodę, rzekł spokojnie: „przecież za to przynajmniej nie oskarżą mnie o zdradę Stanu."

Jedna jeszcze osobliwsza wiadomość, którą z pewnością gotowiście wziąć za wymysł swego korespondenta.

Niepojęte zmiany atmosferyczne, jakie od lat dwóch zaszły we wszystkich krajach, częste pojawianie się komet, zmiana klimatu, wylewy i straszne burze, zwróciły uwagę uczonych i wywołały rozprawy ogólne o wszystkich tych fenomenach, skutkiem czego zaczęto na nowo rozpatrywać wiele teoryi już to zapomnianych, już też odrzuconych pogardliwie przez dawniejszych uczonych. Jedna z takich, która w swoim czasie dość narobiła wrzawy i została uznaną za najdziwaczniejszą i najśmieszniejszą ze wszystkich, zostaje dziś podniesioną i badaną na nowo, gdyż przekonano się iż częstokroć pomysły poczytywane za najcudowniejsze, zamykają w sobie zaród największych odkryć lub wynalazków. Tak zwana „teorya Symes'a" już od pół wieku dostarczała wątku do niewyczerpanych żarcików i drwinek, wszystkim poważnym badaczom praw rządzących przyrodą. Jeszcze w r. 1824, ów Symes poważył się przedstawić ją kongresowi w Washingtonie, żądając poparcia i pomocy dla swego pomysłu przebycia lodów zamykających krańce kuli ziemskiej w celu dostania się do nieznanego, istniejącego po za niemi świata. Ponieważ większość ciał prawodawczych nie grzeszy zazwyczaj zbyt głęboką uczonością, nic więc dziwnego, że ani myślano badać projekt, uznany za gorączkowy wybryk uczonego, a nadto przez długi czas „wielka dziura Symes'a stała się rozpowszechnionem wyrażeniem dla oznaczenia najbezczelniejszego kłamstwa. Dziś jednakże uczeni angielscy podnieśli i zaczęli badać tę dziwaczną teoryą i wiele bardzo mówią i roztrząsają *plan Howgate'a* oparty na danych Symes'a, przyznając, że jakkolwiek bardzo trudne, nie są przecież niemożebne do wykonania.

Przekonanie o istnieniu po za biegunami nieznanego ludziom świata, uzasadniał Symes dowodami daleko więcej przekonywającemi według niego, niż nasunięte Kolumbowi przez owoce i korzenie wyrzucone przez wzburzone fale na wybrzeża Hiszpanii, gdyż nie dostarczała ich martwa, ale żywa i ożywiona przyroda: nieomylny, nie mogący kłamać instynkt zwierząt.

Otóż zdaje się nie ulegać zaprzeczeniu, że corocznie, w jesieni, ma miejsce niezliczona emigracya całych gromad żubrów, reniferów, białych niedźwiedzi, lisów, które zarówno jak wszelka zwierzyna, biegną tłumnie z *południa ku północy*, znikają po za niezmierzonemi lodami otaczającemi biegun, a z wiosną powracają do Eskimosów w jak najlepszym stanie, dobrze wypasione, a nadto samice przyprowadzają młode przyszłe na świat podczas emigracyi. Gdzież więc były przez zimę? jakiż tajemniczy kraj dał im przytułek?...

Tak więc rozumowanie Symes'a nie było pozbawione podstawy. Skoro te niezliczone gromady zwierząt znają drogę do łagodniejszego klimatu niż lodowate znane nam przestrzenie i przebyć ją mogą, nie ma niepodobieństwa aby i człowiek dokonać tego nie zdołał. Zatem Symes pragnął, aby zorganizować wyprawę i etapami iść za śladem zwierząt, posunąć się pierwszej zimy po za stopień 81 lub 82, przez drugą oczekiwać tam przechodu zwierząt, posuwając się o jeden stopień dalej na północ, a zaaklimatowawszy się tak powoli i idąc zawsze w ślad za zwierzętami, dzięki tym nieomylnym przewodnikom zdołanoby w końcu przebyć biegun i odkryć nieznaną ziemię w której szukają schronienia.

(*D. n.*)

ODCZYTY

NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

I.

Szereg odczytów, o których już kilkakrotnie wspominaliśmy rozpoczął p. *K. Matuszewski*, który mówił „O ubiorach, strojach i modzie, ze stanowiska kultury i estetyki". Przedmiot nader ciekawy, dający szerokie pole do opracowania, tak pod względem bogactwa treści jako też i ponętnej formy. Wszakże prelegent nietylko iż nie wyzyskał w zupełności tematu, lecz zaledwo pobieżnie się z nim rozprawił. Więcej ogólników aniżeli szczegółów, więcej abstrakcyjnych poglądów, aniżeli treści, oto ogólna charakterystyka odczytu p. Matuszewskiego. Nadto jeszcze trzeba nadmienić, że w teoryach i zapatrywaniach, prelegent zbyt często zbaczał od dawno wyrobionych pojęć, na które zgadza się większość estetyków.

Ze względu na ciekawość samego tematu rozpatrzymy się bliżej w odczycie.

Prelegent zaznaczył słusznie zaraz na wstępie, że uczucie piękna leży w naturze człowieka. Posiada je każdy, wszakże nie w równej mierze i nie u każdego jednakowo się ono objawia. To silne, lub słabsze objawienie się poczucia estetycznego zawisło od stopnia wykształcenia człowieka. Teorya ta da się rozciągnąć również i na całe społeczeństwo, narody.

Poczucie, o którem mowa, objawia się w działalności człowieka — przedewszystkiem więc w ozdabianiu mieszkania i ubioru.

Lecz mówiąc o ubiorze, myli się zdaniem naszem prelegent, twierdząc, że pierwsi ludzie nie z potrzeby fizycznej się odziewali, lecz z poczucia piękna. Otóż twierdzenie to nie znajduje żadnej podstawy. Wszakże i dziś mamy kraje, w których klimat nie wymaga wyszukiwania odzienia. Dzicy w tych krajach żyjący, przystrajają się istotnie, lecz *odzienia*, we właściwem tego słowa znaczeniu nie używają. Poczucie piękna nie daleko ich zaprowadziło w pomysłach strojenia się.

Jakże odmiennie rzecz się przedstawia u tych narodów, które ze względów klimatycznych potrzebowały odzienia. To był pierwszy popęd. Potem dopiero poczucie piękna kazało ozdabiać *odzienie* i zrobić z niego *strój*.

Kto tylko pobieżnie zna życie Hellady i Rzymu przyzna nam pod tym względem słuszność. Zdanie takie spotykamy u najpierwszych estetyków.

Błędne zapatrywanie się prelegenta pod tym względem, jest źródłem całego szeregu następnych niedostatków.

Mówiąc o doskonaleniu się ubiorów pod względem formy, w miarę kształcenia się narodów, twierdził prelegent, że indywidualność narodowa stroju, jest miarą jego cywilizacyi. Narody oświeceńsze wpływają na ciemniejsze i rugują strój dawny. Nie przeczymy, że cywilizacya ogólna niweluje różnicę strojów, jest to wynik wzajemnego ocierania się ludów, lecz nie dowodzi to bynajmniej, aby zachowawcze poszanowanie stroju było oznaką zacofania. Ze stanowiska piękna nie powinien był prelegent tego żadną miarą wypowiedzieć. Zapomniał on widocznie o słowach pewnego znakomitego estetyka nowożytnego: „najuboższy żebrak, pochodzący z narodu, który ma jeszcze swój odrębny strój, mógłby najbogatszemu z nas dać grosz na kupienie lepszej sukni."

Ubranie chłopa nie dowodzi bynajmniej jego niższości cywilizacyjnej, jak tego chce prelegent, jest to tylko wynik zachowawczości ludu. Ze stanowiska estetycznego byłoby takie zapatrywanie fałszem: najlepszym dowodem, że mało malarzy posługuje się w swych płótnach strojami najnowszej mody. Każdy lgnie do pięknych form kostyumów dawnych, lub dzisiejszych szat wieśniaczych.

Chwilowe upodobanie w stroju tego, lub owego narodu, w tej lub owej epoce, dowodzi tylko zmienności upodobań. To źródło mody.

Moda nie jest bynajmniej nowością, chciwa nowości tyranizowała ona ludzi od początku świata. Znano ją za czasów greckich, rzymskich i późniejszych. A co najciekawsze, czego zresztą prelegent nie powiedział, że odkąd istniała moda, narzekano na nią powszechnie. Modnisie byli przedmiotem żartów i szyderstw, a moda nie upadała bynajmniej. Toż nie żalimy się wcale na wymysły mody dzisiejszej.

Prelegent zwrócił się do niej, mówił o sukniach pań, o fryzurze, kapeluszach, i to się bardzo publiczności podobało. Dowcipnie np. zwrócił uwagę na kolejne posuwanie się kapeluszy u kobiet raz ku tyłowi głowy, to znów na czoło.

Zakończenie było wogóle najlepsze.

Następny odczyt miał p. *August Sokołowski* „O mecenasach literatury za czasów Zygmunta Augusta".

Przedmiot obrany bardzo szczęśliwie, umiał prelegent wzbogacić szczegółami i poglądami trafnemi, dając temsamem dowód, że wykładu publicznego nie uważa jako jednodniówkę, lecz traktuje go umiejętnie. Jest to pierwszy warunek powodzenia i korzyści wykładu. Nie o tematy tu idzie lecz o poglądy oparte na dowodach, o kryteryum silne a trafne.

Prelegent rozpoczął rzecz swoją skreśleniem obrazu stosunków naszych w wieku XVI. Było to tłem obrazu, a przyznajmy tłem niezmiernie ciekawem. Państwo miało wielką potęgę na zewnątrz, a to wyrabiało poczucie siły własnej, podnosiło ducha, czyniło go zdolnym do pracy twórczej, samodzielnej. Dawniej nie miano u nas czasu na pielęgnowanie literatury. Miecz i lemiesz zahartowały rękę tak, że nie była zdolną ni ująć pióro polotne, ni uderzyć o strunę lutni. Jedna pieśń bojowa wystarczała.

Kiedyśmy wszakże spoczęli na laurach, można było pomyśleć i o szermierce ducha. Na tronie zasiadł król potężny, miłośnik nauk i sztuk pięknych.

Za przykładem króla poszli inni, a poszli dalej jeszcze, oddając literaturze wielkie usługi.

Literatura młoda potrzebowała poparcia silnego, w epoce walki nowego humanizmu z resztkami zapleśniałego scholastyzmu, potrzebowali szermierze ducha opieki nietylko moralnej, lecz materyalnej. Wolność głosu była bardzo problematyczna. Pisarzy-satyryków, którzy światła nie chcieli ukrywać pod Korcem, prześladowano często długo i zaciekle. Najjaskrawszy przykład w tym względzie mamy na Klonowiczu.

Otóż w czasach takich był Jan Zamoyski, wielki hetman koronny i kanclerz dla piszących prawdziwym dobrodziejem. Gromadził księgi, założył prywatną akademią w Zamościu i garnął do siebie całą plejadę pracowników na polu literatury ojczystej. Był to wielki zwolennik humanizmu, krzątający się gorliwie około szerzenia światła, którego nam było potrzeba, a do którego mieliśmy prawo.

Pod skrzydła tego znakomitego mecenasa garnęło się bardzo wielu. Z wybitniejszych dość wymienić: Jana i Andrzeja Kochanowskich, Szymona Szymonowicza, Sebastyana Klonowicza (Acerna), Hejdensteina... Po za tymi był cały zastęp drobniejszej braci, która patrząc na swych przewodników szła falangą w ich ślady.

Głową był tu naturalnie Zamoyski. Wielki mąż ten miał cele jasno wytknięte, wykształcenie i rozum stanu wiodły go do nich. Wiedział, że praca jednego nie wystarczy. Tam gdzie szło o skuteczną działalność *pro publico bono*, trzeba było sił wielu. To też wspierał wszystko i wszystkich, którzy po jego myśli działać pragnęli. Pod jego egidą szła ta falanga, która przyjęła za zasadę zdanie Kochanowskiego: *a jako kto może, ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.*

Za protekcyą mecenasa umieli protegowani być wdzięcznymi. Wspierali go w jego zamiarach i dążeniach. Solidarność taka, była podstawą świetności i siły stronnictwa Zamoyskiego.

Wiadomo wszakże, że poglądy kanclerza nie zawsze zgadzały się z zapatrywaniami króla — więc i stronnictwa nie mogły się zgadzać, a już najmniej poszczególni stronnicy. Ci to może najbardziej wpłynęli na pewnego rodzaju rozdwojenie w kraju. Mała nieraz różnica w zapatrywaniach Zamoyskiego wzrastała w przekonaniach zbyt żarliwych zwolenników do rozmiarów rażących. Póki sam kanclerz kierował sprawami publicznemi, rozdwojenie to było ledwo widoczne. Wszakże po śmierci Zamoyskiego zaczęły te różnice oddalać od siebie partye coraz bardziej...

Wracając wszakże do Zamoyskiego, jako mecenasa literatury, oddać mu należy słuszność, że przysłużył się krajowi olbrzymio. Dzięki jego protekcyi wzrastały talenta, kształciły się i rozwijały samodzielnie. Była to szkoła ludzi dobrze krajowi zasłużonych. Siły nie marniały z braku zasobów i poparcia, co tak często przedtem i potem się działo, lecz przeciwnie, znajdując poparcie wrastały przekonaniem o bezpieczniństwie i potężniały.

Zamoyski tą zasługą urasta olbrzymio w oczach naszych. Z współczesnych cenili go zwolennicy, szanowali nawet nieprzychylni. Potomność wystawiła mu w pamięci niespożyty pomnik.

Z mecenasów naszych jest to najpiękniejsza, największa postać...

Trzeci z kolei odczyt przypadł w udziale panu *Bernardowi Kalickiemu*, znanemu autorowi kilku prac historycznych, towarzyszowi i pomocnikowi Szajnochy.

Praca pana Kalickiego o „Karolu Szajnosze" nie obfitowała w szczegóły nowe i nieznane, a jeśli miała znaczenie w tej chwili ważne, to zdaje nam się, iż stało się to nawet mimo wiedzy prelegenta. P. Kalicki, mianowicie zamącił swój wykład poglądami na nowe prądy w historyi naszej, błądząc po manowcach dla ogółu przykrych. Jeżeli przy czyjej biografii nuta taka jest fałszywą i niestosowną, to z pewnością przy Szajnochy. Nie miał on nic wspólnego z prądami dzisiejszemi, nie godził się na nie wcale i dał tego dowody pracami znakomitemi.

Biografia Szajnochy przedstawia ciekawe szczegóły. Syn Czecha, który wcale nie sympatyzował z społeczeństwem wśród którego osiadł, wyssał ś. p. Karol z mlekiem matki, Polki, to wielkie przywiązanie do ziemi naszej, jakie w jego dziełach w każdem przebija się słowie.

W domu rodzicielskim nie miał nawet możności nauczenia się dobrze języka polskiego. Łamał

się z trudnościami, pracował gorliwie, bez wytchnienia prawie i zdziałał rzecz godną podziwu, bo owładnął językiem polskim tak znakomicie, że mu tego setki piszących pozazdrościć mogą.

Długoletnia praca, w pośród warunków bardzo nieprzyjaznych, pozwoliła Szajnosze zebrać ogromnie wiele materyałów historycznych, które opracował krytycznie, zestawiał i po takiem dopiero przygotowaniu tworzył dzieła, niespożytej wartości.

Gorliwemu pracownikowi chleba nieraz prawie brakło. Lecz to go nie zrażało. Miał cel wytknięty, dążył do niego wytrwale, nie zważając na żadne przeszkody. Walka ta była ciężka, tytaniczna.

Niejednokrotnie już zwracano uwagę na ogromną siłę assymilacyjną naszego społeczeństwa, które w drugiem pokoleniu zaciera pochodzenie obce, przysparzając sobie najczęściej ludzi dzielnych pracujących z zapałem, jak gdyby chcieli w krótkim żywocie zdobyć to wszystko, na co u innych składały się całe szeregi antenatów. Literatura i sztuka zyskała w pośród tych ludzi dzielnych przedstawicieli. Społeczeństwo nimi pochlubić się może.

Szajnocha należy do najznakomitszych mężów, których w ten sposób zdobyliśmy.

Wielka miłość ziemi tej, na której się urodził, była natchnieniem Szajnochy. Ona podtrzymywała wątłe ciało, dodawała mu sił do pracy, która istotnie była olbrzymią. Po długich walkach o chleb codzienny zdołał go sobie nasz historyk zapewnić, otrzymawszy posadę w zakładzie Ossolińskich we Lwowie. W pracy nie ustawał, ona była jego żywiołem, potrzebą jego ducha. Nawet po utracie wzroku nie przestał pracować. Kazał sobie czytać, dyktował, lub też pisał przy pomocy ruchomej tabliczki drewnianej, zachowanej obecnie w muzeum Ossolińskich.

Życie tego męża było istotnie męczeństwem w imię nauki. Za to owocem jego — nieśmiertelność...

POGADANKA.

Od czasów biblijnego złotego cielca, kult mamony nie ustał wcale. Jak przez wszystkie wieki tak i dziś miliony żyjących, biją hołdy miljonom martwego złota. Złoto jest potęgą wynoszącą na wyżyny społeczne, jak niemniej druzgocącą jednostki i spychającą je aż na dno przepaści. Ono jest rodzicielką walki o dobrobyt, a ta bodźcem tysiącznych namiętności, z których nigdy dobre się nie zrodzi.

Ale rzecz to stara jak świat, a wszelkie systemata filozoficzne, choćby ich nicią przewodnią był najczystszy idealizm, nie zdziałają tu nic. Szlachetni marzyciele będą śpiewali swoją smutną piosnkę rozczarowania, a falanga czcicieli złotego cielca będzie wołała głosem wielkim: złota! I szukać go będą wszędzie, dopóki nie znajdą, a znalazłszy zapragną jeszcze więcej.

Zmasowanie ludności w Europie i co za tem idzie walka o byt coraz zacieklejsza, utrudniały łaknącym złota zdobycie tegoż na gruncie rodzinnym. Eldoradem wówczas była Ameryka i Australia — lecz ta ostatnia znacznie mniej, dla nieprzychylnych stosunków klimatycznych.

Napływ ludzi pełnych zapału i chęci zdobycia wielkich fortun wyszedł Ameryce na dobre. Państwa potężniały szybko, a na ich czele Stany Zjednoczone, które stały się marzeniem wielu tak pod względem materyalnym, jak i politycznym. Dziś w państwie tem spotykamy się istotnie z wypadkiem fenomenalnym, na który bądź co bądź musieliśmy zwrócić uwagę.

Fakt, który mamy na myśli opiewa jak następuje: Stany Zjednoczone zmniejszyły swe dochody o *sześćdziesiąt siedm milionów dolarów*, z tej prostej przyczyny, że mają już w skarbie państwa i tak za wiele pieniędzy. Czyż to nie godne osobliwszej uwagi? Wszakże to rzecz niebywana i niesłyszana!

Z tego faktu sądząc, możnaby Amerykę istotnie uważać za kraj obiecany i pisma niemieckie nie szczędzą słów na wychwalanie tamtejszych stosunków i na łatwość zbogacenia się...

Reklamy takie nadsyłają także i do polskich pism w W. K. Poznańskiem i Galicyi — tylko, że pisma nasze nie skore są do ich umieszczania, bo znają cel zacnych kulturtragerów. Reklamy te służą do zachęcenia włościan polskich do wyjazdu do Ameryki. Niemcy podwójnie na tem zyskają, osobliwie w Poznańskiem, kupują tanio ziemię i zarabiają za przewóz przez ocean.

Znamy fakt następujący.

Pewna wiedeńska ajencya ogłoszeń, przysłała w ubiegłym roku do redakcyi „Przeglądu domowego" we Lwowie ogłoszenie, zachęcające włościan do emigracyi. Zachęta była gorąca, w do pisku do redakcyi było podkreślone: *pilno!* Wspomniane pismo wraz z „Gazetą wiejską" jest bardzo rozpowszechnione po wsiach w całej Galicyi, a ajencya wiedeńska wiedziała o tem dobrze. Innym pismom ogłoszeń podobnych nie przysłano. Redaktor nie myślał wcale zachęcać naszych wieśniaków do opuszczenia ziemi rodzinnej. Uważał to poprostu za zbrodnię.

W tydzień potem nadchodzi z Wiednia list w którym ajent ofiaruje *potrójną* cenę byle ogłoszenia były zaraz umieszczone. Redaktor odpisał ajentowi te słowa:

„Pismo nasze prenumeratorów potrzebuje, nie ma ich do zbycia, zachęcając ich wszakże do wyjazdu do Ameryki narażałoby się na pewną stratę. Jako kupiec zrozumiesz pan tę odpowiedź, inna by do pańskich przekonań nie trafiła..."

Naturalnie, że Niemiec wyrzekł się nadziei powodzenia w Galicyi.

Pisma poznańskie wprawdzie nie zachęcają do emigracyi, przeciwnie, usiłują ją powstrzymać, lecz ajenci działają wprost, bez ich pośrednictwa. Stosunki ekonomiczne Księstwa są tego rodzaju, że myśl o polepszeniu bytu, nie jest dla ludu obojętną — więc też i wychodźtwo odbywa się na wielką skalę.

Sprawa to zbyt ważna, żebyśmy ją mogli pominąć milczeniem.

W roku ubiegłym wyjechało z Poznańskiego 7,905, z Prus wschodnich 10,134 osób, a wszyscy szukają szczęścia za morzami.

Cyfry to przerażające. Wobec nich wszelkie optymistyczne zapatrywania ustają. Nie potrzebują one zresztą komentarza...

U nas kwestya bytu włościan, jest przedmiotem licznych dyskusyi i zabiegów około zapewnienia przyszłości. Zabiegi te nie będą bez owocne, jak wogóle nigdy praca wytrwała a zacna nie pozostaje bez skutku dodatniego.

Obecnie mamy do zanotowania, że projekt dotyczący włościańskich kas zaliczkowo-wkładowych już uzyskał zatwierdzenie. Będzie to silna podpora kredytu dla drobnych właścicieli, którzy dotąd najwięcej na brak kredytu i gotówki mogli się użalać. Wprowadzenie projektu w życie ma już wkrótce nastąpić. Ogół powita życzliwie tę dźwignię dobrobytu.

Życzyćby należało, ażeby wraz z tą instytucyą rozwijały się wiejskie straże pożarne. Kredyt dając gotówkę, może się wielce przyczynić do podniesienia gospodarstwa wiejskiego, byle go nie trapiły pożary, niestety tak częste. Kroniki pism codziennych notują przerażającą cyfrę pożarów. Wiele tychże wynika z nieostrożności, wiele z podpalenia, ale co do samych skutków pożarów, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że brak natychmiastowej pomocy podnosi je do ogromnych rozmiarów.

Jedynie skutecznym może być ratunek udzielony przez straż pożarną, ile możności dobrze zorganizowaną. Wówczas straty, wynikłe z pożarów byłyby co najmniej o połowę mniejsze.

Kilka prób w tym względzie przekonało, że urządzanie takich straży ochotniczych nie jest wcale trudnem. Ochotnicy nabywają rychło wprawę w tamowaniu pożaru i oddają wielkie usługi.

W kronice zapisów na cele publiczne ciągły mamy przyrost. Ś. p. Józef Wieczorkowski, prezes towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, przeznaczył szczupły swój majątek, zebrany długoletnią pracą i oszczędnością, na cele bardzo zacne, a popularne dziś w pośród społeczeństwa. Osadom rolnym dostało się 5,000 rs., suma 2,700 rs. posłuży na utworzenie stypendyum dla studenta warszawskiego uniwersytetu, katolika i rodem z Królestwa; na wpisy dla uczni gimnazyalnych obrócone będą procenta od kapitału 500 rs. Fundusz budowy kościoła Wszystkich Świętych otrzymał zasiłek 1,200 rs.; a wreszcie dom schronienia dla nieuleczalnych paralityków i instytucya jałmużnicza dostaną po 300 rs.

Piękny pomnik wystawił sobie zmarły tymi darami w pamięci potomnych.

Żydowskie szkoły rzemieślnicze otrzymały dar nadzwyczaj szczodry, bo aż 50,000 rs. Dawczynią jest pani Paulina Baumanowa.

Dar ten, sam przez się wielki, powinien jeszcze większe mieć skutki. Sądzimy bowiem, że przez założenie szkoły rzemieślniczej, podług dzisiejszych wymagań wykształci się cały zastęp rękodzielników zdolnych, mogących zastąpić dotychczasowe roboty partackie, jakiemi żydowscy rzemieślnicy zasypywali drobne targi i sklepy. Partactwo to było nieraz przeszkodą w rozwoju handlu wyrobami lepszemi, lecz naturalnie trochę droższymi. Lichy a tani towar wyrobił sobie pokup pomiędzy ludnością ubogą, która musi się z każdym groszem liczyć. Nie wiedzieli nieraz ci biedni, że tracą podwójnie, bo biorą rzeczy, które trwałością nie mogły zadowolnić nikogo.

Spodziewajmy się postępu na tem polu, bo zdałby się istotnie. Pracując uczciwie, nie będą się mogli izraelici żalić na naszą niesprawiedliwość, przekonają się dowodnie, że sami są zbyt często winni zarzutów, jakie ich spotykają. Niech pracują, jak wszyscy współobywale, a nie będziemy tracili tak wiele czasu na dyskusye społeczne, jak się to dziś dzieje.

Na drodze zjednoczenia nie nam samym pracować, bo i czasu na to nam nie starczy i praca nasza nie będzie tak skuteczna.

W Galicyi pracuje w tym kierunku bardzo energicznie stowarzyszenie „Agudas Achim", któ-

re zakłada szkółki polskie i pośród starszych szerzy pojęcia zdrowe, zacne i dążące do uspołecznienia współplemieńców.

Wracamy jeszcze do funduszów na cele publiczne. Otóż „Biesiada literacka" donosi o fakcie bardzo ciekawym, który za nią powtarzamy.

Dwóch panów T. i L. posprzeczało się i co rzecz bardzo zwykła, zapragnęło rozstrzygnięcia sprawy pojedynkiem. Zgoda! zawołali obaj; poprosili sekundantów i im pozostawili ułożenie warunków. Sekundanci spisali się gracko. Oto, rozpatrzywszy się w sprawie orzekli, że zamiast pojedynku pan T. zapłaci na wpisy dla młodzieży szkolnej *trzy tysiące* rubli!

Przynajmniej, że to pomysł nielada.

Ah! gdyby to więcej takich pojedynków. Iluż to młodych ludzi zdobyłoby możność kształcenia się!

Donosiliśmy niedawno o założeniu w Kole publicznej czytelni. Dochód z niej ma być obrócony na założenie nowej czteroklasowej szkoły. Potrzeba jej daje się czuć bardzo, wiedzą o tem dobrze mieszkańcy Koła, lecz zatkali sobie uszy na głos powinności, zamknęli kieszenie i przyznają się, że czytanie uważają za rzecz zbyteczną.

Dotąd ma czytelnia aż *dziesięciu* razem czytelników!

Jesteśmy najmocniej przekonani, że czytelnia w najmniejszej wiosce więcejby znalazła poparcia.

Warszawa uśmiechnęła się otrzymawszy wiadomość o powyższym fakcie i chciała pokazać, że nie da się wyprzedzić takiej mieścinie jak Koło. Więc kiedy dano przedstawienie żywych obrazów z „Pana Tadeusza", na cel dobroczynny — sala świeciła pustkami!

Zwyczajnie, kaprysy syreniego grodu...

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Leopold hr. Starzeński. Sen Trefnisia, komedyodramat w 3 aktach, wierszem. Lwów 1883 r.

A. Abrahamowicz. Vis à Vis, fraszka sceniczna w 1 akcie. Jego zasady, komedya w 1 akcie. Po burzy, fraszka w 1 akcie.

Znany komedyo-pisarz hr. Starzeński, wydał obecnie najnowszą swą pracę pod tytułem: „Sen Trefnisia", a to na temacie historycznym z czasów Jana Kazimierza. Rzecz cała napisana wierszem wielce sceniczna, szczególnie nadaje się do przedstawień amatorskich. O fraszkach i komedyach p. Abrahamowicza tego samego powiedzieć nie możemy, a pomimo, że fraszkę zatytułowaną „Po burzy" na scenie Lwowskiej przedstawiono, to jednak jak o Ryczywole o tych „sztukach" zamilczeć wolę.

W. G. Paskudnik, zdarzenie prawdziwe. Lwów 1882 r.

Pod tym wcale nie ponętnym tytułem kryje się bardzo udatna i tendencyjna powiastka dla ludu. Wiadomą jest rzeczą, że lud prosty rozdęcie u bydła nazywa paskudnikiem i mniema, że przyczyna tej choroby tkwi na oku i że ją usunąć można przez zdarcie błony ocznej. Otóż powiastka p. W. G. zbijając te błędne mniemanie podaje środek leczniczy i zarazem wykazuje, że człowiek żyjący bez oświaty, bez nauki, rządzący się zabobonami, sam ma na oczach „paskudnika", którego tylko oświata zedrzeć może.

Powiastka napisana jest bardzo przystępnie i budzi zajęcie w czytelniku.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** W kościele św. Piotra w Krakowie znajduje się pomnik wielkiego naszego kaznodziei Piotra Skargi i ambona z której przemawiał tak wymownie, a w podziemiach grób jego. Proboszczem kościoła tego jest ks. kanonik Serwatowski który dla pragnących zwiedzić i pomodlić się przy grobie proroka narodu, kazał otwierać kryptę, zniechęcało jednak wiele osób nader przykre do niej zejście. Pan Łepkowski, którego staraniom zawdzięczamy restauracyę grobów królewskich na Wawelu i grobu Długosza na Skałce, od dawna już starał się o zebranie dostatecznego funduszu, dozwalającego zmienić ciemną piwnicę na kryptę odpowiednią czci narodu dla Skargi. Obecnie dokonał tego kosztem wdowy po ś. p. Maurycym Poniatowskim, (córki Michała Grabowskiego) pani Elżbiety Colonna Czosnowskiej. Zrównano i otynkowano ściany grobu i urządzono wentyle; wejście urządzone jest ze środka nawy kościelnej, na metalowych drzwiach stoi napis „Grób Skargi" są one ujęte w obramienie z czarnego marmuru, wyglądają jak bronzowe, okucie bardzo wykończone według rysunku p. Łepkowskiego. Wygodne kamienne schody prowadzą jakby do przedsionka z którego środkowe wejście prowadzi do grobu Piotra Skargi (Pawęski), tu na odnowionym piedestale stoi trumienka cynowa ze zwłokami, a obok niej kamienna (z r. 1845) ze szczątkami sutanny. Trumna metalowa z ozdobami w stylu *rococo* przykuta jest łańcuchem do kamiennego postumentu, na wierzchu jej leży księga, po bokach blachy z napisami świadczącemi że fundatorką tej trumny była Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa, siostra króla Jana III, żona wojewody wileńskiego, podkanclerzego litewskiego i hetmana polnego w roku 1695. Grób oświecają pięknie wykończone świeczniki, obecnie dodane. Grób Skargi może być zwiedzany codziennie, tak jak groby królewskie na Wawelu za zgłoszeniem się do zakrystyana kościoła św. Piotra.

*** Czytamy w „Wędrowcu" ciekawą korespondencyą z Baku, z której podajemy tu niektóre szczegóły. Jest tam przeszło dwustu żołnierzy i marynarzy Polaków, a oprócz tego 40 kilka osób z intelligencyi. Ruch umysłowy słabo się przedstawia; przychodzi tam 15 egzemplarzy pism warszawskich i 3 egz. „Kraju", prócz tego mała kolonia polska drogą składek utworzyła sobie biblioteczkę, stanowiącą dla niej miłą rozrywkę, w wolnych od pracy chwilach. Niestety! nie ma tam ani kapłana, ani kościoła katolickiego, a zbierany na ten cel fundusz jest dotąd tak mały, iż o budowie choćby małej kapliczki marzyć nawet nie można. Raz tylko do roku, przyjeżdża tam kapłan z pod Tyflisu, na tydzień lub dwa. Garstka składająca kolonię polską w powszechnej mowie używa własnego języka, starając się mówić czysto i poprawnie, za każdy błąd dopuszczający go się płaci 10 gr. kary, z których tworzy się fundusz na kupno polskich elementarzy oraz na wynagrodzenie dla prywatnego nauczyciela czytania i pisania po polsku i katechizmu dzieci marynarzy, bo inne nauki pobierają obowiązkowo w szkole specyalnej rządowej, przy zarządzie portu Bakumskiego floty Kaspijskiej.

Zawiadomienia.

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając **bielizny** i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, poręczając za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: **Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.**

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Марта 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 11, r. 1883.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

Eliana pośpieszyła do Bianki, Iwon zaś włożył kapelusz i poszedł przyśpieszonym krokiem na drugi koniec wsi, gdzie z pewnem zadowolnieniem znalazł słuszne powody do gniewu i surowego połajania winnych, co mu przyniosło prawdziwą ulgę.

Margrabina nie zeszła na śniadanie, które przeszło w milczeniu i skończyło się prędzej jak zwykle; wszyscy pragnęli uwolnić się jak najprędzej od obecności służących, jednak milczenie przedłużyło się choć już pozostali sami. Monléon nie mógł patrzéć na zaczerwienione od łez oczy żony, bez najżywszego oburzenia na Raynolda, ale nie śmiał już wyrazić tego głośno. Co więcej to rozdrażnienie przeistaczające jego charakter było mu nieznośnem; nie poznawał sam siebie, zdawało mu się że zachorował. Chodził czas jakiś po pokoju, a potem chwycił się tego samego sposobu co rano, kazał zaprządz do breaka i pojechał zabierając z sobą Armanda, a Biankę zostawił z Elianą i panną Sylvestre.

Biedna panna Sylvestre była zupełnie przybita tym ciosem spadającym na tak drogą jej rodzinę. Pomimo samolubstwa panującego tak wszechwładnie w świecie, znajduje się wiele jeszcze istot nie znających ani radości ani cierpień czysto osobistych, i takim przypada w udziale więcej smutków i więcej szczęścia jak innym. Do takich istot należała panna Sylvestre, i dla dlatego też odczuwała w tej chwili smutek wszystkich razem i każdego z osobna, ubolewała zarówno nad Raynoldem i nad margrabiną, ale nie przypuszczała nawet aby które z nich mogło być winnem.

— Nie wiecie jeszcze, rzekła z głębokiem przekonaniem o swej znajomości zepsucia ludzkiego, tak, nawet Bianka pomimo że jest mężatką i matką, nie wyobraża sobie nawet do czego zdolne są te wstrętne kobiety, które myślą tylko o tem aby zamącać spokój w rodzinach, oszałamiać, rujnować i znikczemniać młodych ludzi... Opowiadano mi...

— O! zawołała Bianka ja także nie mało już nasłuchałam się o tem; Iwon opowiadał mi takie rzeczy że mi włosy powstawały na głowie. Dlatego też jestem pewna, jakkolwiek Eliana jest przeciwnego zdania, że ta śpiewaczka jest właśnie jedną z tych zepsutych i szkodliwych istot.

— Eliana nie podziela tego zdania! zawołała panna Sylvestre; a z kądże ona może wiedzieć coś o tem?

Eliana stojąc przed kominkiem wpatrywała się w ogień wzrokiem nieruchomym, zdradzającym że myśl jakaś opanowała cały umysł, a pomimo to widziała dokładnie wszystkie barwy płomieni, wszystkie kształty palących się głowni. Dlatego właśnie że w takim razie widzimy z tak dziwną dokładnością wszystko co nas otacza, jakkolwiek myśl nasza jest zajęta czem innem, różne martwe przedmioty budzą w nas później tak żywe i niespodziewane wspomnienia.

— Pytam ci się, Eliano, powtórzyła panna Sylvestre, jakim sposobem możesz coś wiedziéć o tej śpiewaczce?

Eliana podniosła głowę posłyszawszy to pytanie prosto do niej zwrócone.

— Wiem tylko to, odpowiedziała, co wyczytałam w liście pisanym do Armanda z Rzymu, który dziś rano pozwolił mi przeczytać. Nie zawierał nic takiego co dozwalałoby przypuszczać że ta młoda... że ta o której mówimy, działała podstępnie, lub popełniła kiedykolwiek coś zdrożnego.

Panna Sylvetre nie była wcale usposobioną do uwierzenia w coś tak dla niej nieprawdopodobnego.

— Przyznam ci się, Eliano, odpowiedziała z żywością, że nie mogę ani uwierzyć temu, ani też zrozumiéć ciebie, w takim razie trzebaby przypuścić że cała wina cięży na twej stryjence i że twój kuzyn...

— Nie mówię tego, odpowiedziała Eliana stłumionym głosem.

Potem tracąc panowanie nad sobą, zawołała z wybuchem boleści, której nie mogła już utaić dłużej:

— O! przez litość nie mówmy już o nim, i nie oskarżając nikogo ubolewajmy zarówno nad wszystkiemi.

Te słowa przypomniały im co w tej chwili powinnoby być głównym przedmiotem ich zajęcia, i rzeczywiście myślały odtąd o tem jedynie jakimby sposobem wejść do pokoju margrabiny, a przynajmniej odgadnąć co się z nią dzieje. Zadzwoniła tylko raz po odejściu Gastona, i to aby oznajmić że nie zejdzie rano i życzy sobie aby jej nikt nie przeszkadzał. Trochę później Bianka i Elliana pukały do jej drzwi, ale nie odebrały żadnej odpowiedzi. Nakoniec, już przed wieczorem, panna Sylvestre po nadaremnem pukaniu ośmieliła się prosić margrabiny aby jej otworzyła; wtedy usłyszała że margrabina chodząc ciągle po pokoju stanęła nagle a potem zbliżyła się do drzwi, i nie otwierając ich odpowiedziała stanowczym tonem, wymawiając z silnym naciskiem ostatnie wyrazy.

— Mówiłam już że chcę pozostać samą i powtarzam to raz jeszcze; na obiad *zejdę o zwykłej porze.*

Trzeba było poprzestać na tej odpowiedzi i oczekiwać nie bez trwogi tak dziwnie wybranej godziny do zobaczenia się z nimi. Wszystkim zdawało się że byłoby daleko lepiej gdyby pierwsza rozmowa, a nawet choćby tylko wzmianka o tak przykrym przedmiocie, odbyła się bez świadków, ale niepodobna było sprzeciwić się woli margrabiny i wszyscy wcześniej jeszcze jak zwykle zeszli się w salonie.

Weszła do salonu skoro tylko siódma wybiła. Tak w jej obejściu jak ubraniu nie było żadnej zmiany; tylko postawa była dumniejsza, usta nie uśmiechały się jak zwykle, spojrzenie było zimne, a z wyrazu twarzy łatwo było wyczytać, że chce obejściem swojem okazać jak inni zachować się mieli.

W pierwszej chwili zdumienie przytłumiło wszelkie inne uczucia obecnych. Pani de Liminges przeprosiła tonem swobodnym, który umiała przybrać każdej chwili, że nie zeszła na śniadanie, czego jedynym powodem była bardzo silna migrena. Przy obiedzie rozmawiała z zięciem o interesach tak spokojnie jak zwykle, a Monléon uszczęśliwiony że nie potrzebuje być świadkiem gwałtownych scen i łez, starał się podtrzymywać rozmowę. W końcu reszta osób poszła za jego przzkładem, domyślając się że margrabina życzy sobie tego, i pozornie wieczór przeszedł jak wszystkie inne. Jednak margrabina odeszła wcześniej jak zwykle, pod pozorem że czuje się jeszcze osłabioną po przebytej migrenie. W zachowaniu jej nie zaszła żadna zmiana dozwalająca się domyślać jakiegoś smutku lub rozdrażnienia, wyjąwszy że pomimowolnie odtrąciła rękę Eliany, gdy ta jak zazwyczaj chciała ją wprowadzić na schody.

Cały ten wieczór był prawdziwą męczarnią dla Bianki; przymus jaki musiała zadawać sobie był tak niezgodny z jej naturą, że nie potrafiłaby znosić go długo. Wybuchła też płaczem zaledwie drzwi zamknęły się za margrabiną i zawołała rzucając się w objęcia kuzynki:

— Ah! Eliano, to gorzej jeszcze niż gdyby zakończył życie! Byłoby nam przynajmniej wolno mówić o nim i płakać otwarcie.

IX

Rzeczywiście rozłączenie między Raynoldem i całą jego rodziną nie mogłoby być zupełniejszem nawet wrazie jego śmierci, a może nawet nie byłoby tak ścisłem, bo obecnie nie tylko że wszelkie stosunki z nim zostały zerwane, ale nie wymawiano nigdy jego imienia. Można było sądzić że nawet wspomnienie o nim zatarło się w pamięci najbliższych mu osób.

Wiosna i lato przeszły smutniej niżby to można było wnosić z pozorów, bo pani de Liminges podtrzymywała energicznie swą rolę. W czasie jej pobytu w Paryżu, nikt nie dotknął w rozmowie z nią przedmiotu o którym mówić nie chciała; wszyscy zdawali się wierzyć że Raynold podróżuje ciągle. Bianka oczekiwała w Crécy przyjścia na świat drugiego dziecka, a w końcu czerwca urodziła jej się córeczka, której matką chrzestną miała być Eliana, i z tego powodu przyjechała znów z margrabiną na miesiąc do Crécy, poczem wróciły do Erlon.

Eliana przebyła już wiele smutnych dni w Erlon, ale teraz dziwiła się jak mogły wydawać jej się smutnemi. Trzeba się znaleźć w obec czegoś *nieodwołalnego* aby zrozumiéć ile jeszcze może ukrywać się nadziei w sercu przekonanem najsilniej że jej nie ma już wcale. Widząc że jakaś choroba jest nieuleczalną i śmiertelną, zdaje nam się także iż oswoiliśmy się z tą myślą że chory umrzéć musi, a gdy to nastąpi przekonywamy się dopiero, że nadzieja nie odstępowała nas do ostatniej chwili. Ileż to razy, od dwóch lat, Eliana byłaby przysięgła że nigdy już nie myśli o Raynoldzie *jak dawniej!* Ileż to razy powtarzała sobie że jeźli Raynold zajmuje miejsce w jej marzeniach o przeszłości, to nigdy, nigdy nie znajdzie go w odnoszących się do przyszłości. A jednak jakiż to ciężar spadł teraz na jej serce? Jakiż głęboki smutek zamącał spokój duszy który odzyskała z takim trudem! musiała więc bezwiednie zachować jakąś nadzieję, skoro wiadomość *że wszystko już skończone* wydawała jej się tak dotkliwą i niespodziewaną!..

Prócz tego była wystawioną na inną równie ciężką próbę. Cios niweczący wszystkie nadzieje margrabiny co do przeszłości syna, wpłynął na to że przyszłość przedstawiała jej się teraz w zupełnie nowem świetle, nie takiem jednak jak to można było przypuszczać. Czegóż żałowała rzeczywiście, dowiedziawszy się o tak nienawistnem jej ożenieniu Raynolda? Czy że oparła się słusznym i rozsądnym życzeniom syna? czy też że oddaliła go od siebie? O! nie! żałowała tego jedynie że przywiozła do siebie Elianę! Przypomniała sobie słowa Armanda. *„Jeśli pani nie chciała pozwolić aby ją pokochał, nie trzeba było pozwalać aby ją poznał,"* i zamiast zadać sobie pytanie czy spełniła sumiennie wszystkie swe obowiązki, wyrzucała sobie gorzko ten który spełniła, albowiem daleko przyjemniej obwiniać się o zbytek dobroci, niżeli przyznać się do winy. Słowem, jakkolwiek ciężką przechodziła próbę, nie doprowadziło to jej jeszcze do uznania że zbłądziła. Jednak była zbyt szlachetną i posiadała zbyt silne poczucie sprawiedliwości, aby mogła być zupełnie w zgodzie sama z sobą, i z tego powodu usposobienie jej stało się zmienionem i posępnem, a obejście z Elianą, której przypisywała to nieszczęście, nie tylko zimnem, ale prawie surowem.

Lipiec i sierpień przeszły smutno. Malseigne był w Burgundii, a nieobecność milczącego pocieszyciela przykro dawała się uczuć biednej Elianie; nawet panna Sylvestre nie była już dla niej tak serdeczną jak dawniej, nie mogąc darować że stawała w obronie *awanturnicy ośmielającej się nazywać żoną Raynolda* jak zawsze wyrażała się mówiąc o niej. Margrabina chcąc utrzymać się w swej roli, przyjmowała jak dawniej sąsiadów; wiedziała że nie może nakazać milczenia wszystkim jak je nakazała w swej rodzinie; domyślała się że tak w miasteczku C. jak we wszystkich pałacach pochwycono chciwie wiadomość tak jej bolesną i powtarzano je sobie z różnemi dodatkami, ale jak wszystkie osoby uparte i despotyczne, umiała widzieć i słyszeć tylko to co zgadzało się z jej wolą, i z łatwością wmawiała w siebie że inni czynią toż samo.

Wszystko więc było jak dawniej, wyjąwszy że nie przyjmowano gości w zawsze teraz zamkniętym salonie, gdzie był portret Raynolda, ale w bibliotece. Ostrzeżono także wszystkich aby się strzegli najlżejszej wzmianki o przykrym dla margrabiny przedmiocie.

Zastosowano się do tego ściśle, z czego margrabina zdawała się bardzo zadowoloną, jakby sądząc że jej się udało ujarzmić nie tylko języki ale i myśli swych sąsiadów. Eliana biorąca czynny udział w tej długiej komedyi, była nią już śmiertelnie znużona, a to znużenie połączone z ukrywanym starannie smutkiem, zaczęło podkopywać jej zdrowie, grożąc ciężką może chorobą. Walczyła gorliwie z wzmagającem się ciągle rozdrażnieniem nerwów, ale prawdopodobnie usiłowania jej byłyby bezskuteczne, gdyby nagły wypadek nie zmusił ją do zupełnego zapomnienia o sobie, a rozbudzając energię moralną, nie przywrócił jej zarazem sił fizycznych.

Pewnego dnia, bez widocznego powodu, wszystko co margrabina uczyniła dla ukrycia nurtującego jej serce cierpienia, runęło nagle.

Co rok w tym dniu wyprawiano dla dzieci wiejskich, w oranżeryi wielką ucztę, na której byli także obecni ich rodzice, proboszcz, siostry miłosierdzia i znakomitości miejscowe. Margrabina znajdowała się zawsze na tej uroczystości wraz ze wszystkiemi mieszkańcami zamku, a Bianka i Raynold spełniali zwykle obowiązki gospodarzy. Margrabina nie tylko okazywała się szczodrobliwą w podobnych razach, ale pełną dobrotliwości dla osób zajmujących niższe od niej stanowisko, co jednak nie dochodziło nigdy do zezwolenia na jakąś poufałość komuś ze służących.

Eliana lubiła dzieci, a wśród tych przepędzała większą część czasu, kochały ją też bardzo. Panna Sylvestre była także bardzo popularną między nimi, jako szafarka darów przesyłanych przez margrabinę uboższym ludziom.

Eliana dawno już nie czuła się tak wesołą jak w tym dniu, bo też nie ma nic zaraźliwszego nad wesołość dzieci. Rozdzielając między nie ciastka i owoce, czuła że krew żywiej krąży w jej żyłach, a na usta wraca śmiech tak tak dawno już tam niewidziany.

— Dalej, Róziu, rzekła do czteroletniej dziewczynki, która trzymając w rączce kawałek ciastka wpatrywała się chciwie w piramidę z wisien stojącą przed nią na tacy, śpiesz się, a jeźli nie masz już ochoty jeść ciastka, to je połóż.

— Dobrze, panno Eliano.

— Czy prosisz o wiśnie?

— Tak, panno Eliano.

Eliana włożyła trochę wiśni na talerz Rózi, a widząc że patrzy ciągle na leżące na tacy, zapytała:

— Dla czego nie jesz wiśni, czy dałam ci za mało?

— Tak, panno Eliano.

— Doprawdy! zawołała śmiejąc się, ileż chciałabyś dostać?

— Za dużo, jeźli łaska, panno Eliano.

Ta odpowiedź rozśmieszyła jeszcze więcej Elianę

— Siostro Serafino, zawołała, czy słyszysz co Rózia mówi? Dopomóż mi spełnić jej życzenia.

Ale siostra Serafina nie odpowiedziała na jej wezwanie. Oczy jej czuwające zawsze tak troskliwie nad dziećmi powierzonemi jej opiece, zwracały się teraz z wyrazem niepokoju w przeciwną stronę oranżeryi. Spojrzenie Eliany pobiegło natychmiast w tę stronę i uśmiech znikł z jej twarzy.

Na drugim końcu oranżeryi, ustawiono na małem wyniesieniu fotele dla osób które miały po uczcie rozdawać dzieciom książki i ubranie, siostra Serafina patrzyła na margrabinę, zbliżającą się z widoczną trudnością do swego miejsca.

— Musi być słaba, bardzo słaba, rzekła do Eliany.

Nie dokończyła jeszcze tych słów, gdy Eliana pobiegła już do estrady, gdzie stryjenka jej opadła ciężko na fotel i zdołała zaledwie przytrzymać ją na nim, gdyż straciła zupełnie przytomność. Obecny tam miejscowy doktor, sądząc z początku że to proste zemdlenie, starał się ją ocucić, gdy jednak używane przez niego środki okazały się niedostateczne, kazał przenieść chorą do pałacu, a w krótce potem zażądał aby zawezwano doktora margrabiny, jednego z najsławniejszych lekarzy paryzkich i dawnego przyjaciela rodziny de Liminges. Wysłano także depeszę telegraficzną do Bianki, wzywając ją aby jak najśpieszniej przybyła do matki.

Jednak margrabinie było już lepiej gdy około jedenastej wieczorem doktór G. przybył z Paryża. Odzyskała przytomność, poznawała otaczające osoby, ale zapomniała zupełnie o tem co poprzedzało jej zemdlenie. Nie okazała najmniejszego zdziwienia widząc przy sobie córkę, zięcia i doktora G. którego nazwisko wymówiła wyraźnie. Myśli jej nie były jeszcze zupełnie jasne.

Doktór patrzył na nią uważnie i spostrzegł że stopniowo oczy jej odzyskiwały zwykły swój wyraz. W końcu potarła lewą ręką czoło i rzekła.

— A! przypominam sobie wszystko... a podając też samą rękę doktorowi dodała: Tak, rozumiem, zachorowałam nagle i przywołano cię do mnie; mój dobry doktorze, przecierpiałam bardzo wiele, a od kilku dni zwłaszcza...

— Postaramy się o to aby pani prędko odzyskała zdrowie... Proszę teraz, dodał z pewnym wahaniem, podać mi prawą rękę...

Nastąpiła chwila pełnego niepokoju milczenia... potem margrabina rzekła: *Nie mogę!..* Prawa jej ręka była sparaliżowana, i gdy po kilku dniach, wszystkie inne symptomata choroby przeminęły, ten jeden pozostał. Doktór G. oznajmił że jakkolwiek jak na teraz nie zagraża margrabinie żadne niebezpieczeństwo, i mogłaby nawet z czasem odzyskać władzę w ręku, potrzebuje przecież poddać się długiej i starannej kuracyi, zupełnego spokoju, a nadewszystko zmiany miejsca i klimatu. „Byłoby dobrze, powiedział, gdyby mogła zabawić długo w miejscu zupełnie dla niej obcem.

Zięć i córka podjęli się wprowadzić w wykonanie ten przepis doktora. Iwon postanowił zmienić, stosownie do tego, wszystkie swe plany aż do końca roku, Bianka wzięła na siebie trudne zadanie skłonienia margrabiny aby spełniając ich życzenia, pozwoliła na czas jakiś wybrać dla niej miejsce pobytu i powierzyła Iwonowi wszystkie swe interesa.

Bianka zaledwie ośmieliła się wystąpić do matki z podobnem żądaniem. Wymagać aby matka była jej posłuszną!.. Aby zrozumieć jakie uczucie budziła w niej sama myśl o tem, trzeba przypomnieć sobie że uległość jej dziecięca była zawsze połączona z szacunkiem i uwielbieniem.

Pani de Liminges leżała na szeslongu w swym pokoju, gdy córka uklękła przy niej i przedstawiła jej nieśmiało plan ułożony przez nią i przez Iwona.

— Skoro tylko mama będzie mogła znieść trudy podróży, Iwon uda się nad brzegi Śródziemnego morza i wynajmie tam jaką piękną i wygodną willę, do której następnie udamy się wszyscy nie wyjmując dzieci, i pozostaniemy przez całą zimę... Możnaby pojechać do Cannes jeźli mama życzy sobie tego, ale Iwon sądzi że Bordighiera lub San-Remo zasługują na pierwszeństwo; klimat tam piękniejszy, a życie spokojniejsze. „Bo jest rzeczą konieczną, dodała Bianka, aby moja droga mateczka była zupełnie spokojną, i myślała o tem tylko żeby używać jak najwięcej świeżego powietrza.

Margrabina nie przerwała jej ani jednem słówkiem, tylko w oczach jej malowało się zadziwienie. Pierwszy to raz w życiu żądano od niej aby zastosowała się do planu ułożonego przez innych... Myślała chwilę a potem skinęła głową na znak przyzwolenia.

Bianka ucieszona że jej się tak dobrze powiodło, pokryła pocałunkami rękę matki; margrabina odwzajemniła jej się uściśnieniem dłoni, ale szepnęła:

— Dość już, nie mów mi dziś nic więcej.

Zamknęła oczy, jakby chciała stanowczo zakończyć rozmowę; wtedy wzrok córki zatrzymał się na niej z boleścią. Upłynęło sześć miesięcy od ślubu Raynolda, a trzy jak nie widziała matki, i przerażało ją że zmieniła się tak bardzo w tym krótkim przeciągu czasu. Posiwiałe włosy, głębokie zmarszczki na czole, bolesne zacięcie ust, zapadnięcie tej tak pięknej twarzy, słowem, wszystkie oznaki tak długo tajonego cierpienia, zwróciły teraz uwagę Bianki wywołując łzy z jej oczu.

Oczekując dnia w którym pani de Liminges będzie mogła wyjechać, starano się urządzić wszystko w ten sposób, aby w czasie jej nieobecności wszelkie jej rozporządzenia mogły być ściśle wykonywa-

ne, i aby jej oddalenie się nie przyniosło nikomu krzywdy.

W przeddzień wyjazdu, wieczorem, margrabina chcąc wypróbować swe siły przeszła do biblioteki, a następnie usiadła na fotelu przy kominku; Eliana była w tej chwili sama tylko przy niej i zadawała sobie pytanie; czy nie wypada jej przywołać Bianki lub panny Sylvestre i przerwać tym sposobem sam na sam, zdaje się już od tak dawnego czasu niemiłego stryjence, wahała się jeszcze, gdy margrabina poruszyła się lekko, jakby chcąc się unieść, poczem odezwała się:

— Eliano, moje dziecię, chodź, dopomóż mi.

Serce Eliany uderzyło silniej; stryjenka wymówiła jej imię z taką czułością jak dawniej. W jednej chwili była już przy niej, poprawiła poduszeczkę podtrzymującą sparaliżowaną rękę, następnie tę na której margrabina opierała głowę, i wtenczas spotkała jej spojrzenie tak słodkie i tkliwe, że zadrżała z zadziwienia i radości.

— Biedna Eliano, rzekła margrabina łagodnie, dziękuję ci.

— O! droga moja stryjenko! zawołała Eliana.

— Tak, byłam niewdzięczną i niesprawiedliwą dla ciebie, tyś temu nie winna że...

Zatrzymała się, Eliana nie śmiała przemówić a nawet odetchnąć. Czy powie jeszcze coś więcej?.. czy wymówi jego imię?.. czy zacznie nakoniec mówić o nim?.. Nie... margrabina nie dokończyła, i przechodząc nagle do inne przedmiotu, rzekła:

— Czy i teraz jeszcze, Eliano, życzysz sobie pozostać zawsze przy mnie?

— Tak, stryjenko, pragnę nie opuścić cię nigdy.

— Nigdy... powtórzyła margrabina wolno, w twoim wieku to zbyt silne wyrażenie, bądź co bądź pójdziesz kiedyś za mąż.

— Ja! zawołała Eliana! Ja miałabym pójść za mąż!.. i za kogo?..

Margrabina podniosła oczy i wpatrywała się bystro w Elianę, której twarz pokryta chwilowo silnym rumieńcem, pobladła znowu.

Po chwili milczenia, margrabina odezwała się znów wzruszonym głosem:

— Jesteś dobrą Eliano!.. kocham cię moje dziecię i dziękuję ci.

— O! to ja stryjenko powinnam ci dziękować, rzekła Eliana stłumionym głosem.

Wejście panny Sylvestre przerwało rozmowę, a Eliana korzystając z tego odeszła do swego pokoju i upadła na kolana...

Zaledwie blady promień słońca zabłysnął dla niej, a jednak wraz z nim trochę światła i ciepła wróciło do jej serca.

X

Od dnia wyjazdu margrabiny minęła już jesień i zima zbliżała się do końca. Jakkolwiek były to dopiero ostatnie dni marca, w powietrzu już się czuć dawała wiosna. Słońce wpadło przez otwarte okno do gabinetu Armanda de Malseigne, a on siedząc z książką w ręku, zwracał niekiedy głowę do okna i oddychał z przyjemnością łagodnem, zwiastującem wiosnę powietrzem.

Jakkolwiek mieszkanie Armanda znajdowało się w najhałaśliwszej części Paryża, cicho w niem było i spokojnie; z jednej strony wielki dziedziniec oddzielał je od przedmieścia Saint-Honoré, z drugiej okna wychodziły na śliczne ogrody, ciągnące się aż do Pól Elizejskich, tak że oko zatrzymywało się wszędzie na drzewach i kwiatach. Zdawało się że gwar miasta dochodził tam zdaleka po to jedynie, aby podwoić urok panującej ciszy, albo też może dla przypomnienia, wrazie gdyby samotność stała się uciążliwą, że można w każdej chwili znaleźć się znów między ludźmi.

Jednak Armand nie myślał o tem bynajmniej, przeciwnie cieszył się że nikt dotąd nie wiedział o jego powrocie do Paryża, a zatem nikt mu nie przerwie samotności.

Wczoraj wrócił z San-Remo, gdzie Iwon de Monléon najął willę w zachwycającej miejscowości nad morzem, zwaną willą Palm, z powodu prześlicznych plm rosnących tam wśród bujnej roślinności.

Malseigne udał się do San-Remo czując że nie wolno mu być długo nieobecnym wśród tej tak drogiej mu rodziny. Chciał zresztą przekonać się o ile polepszył się stan zdrowia margrabiny i czy nie zaszła jaka pomyślna zmiana pod względem stanu jej duszy.

Nie mógł jednak tego ukrywać przed sobą, że minął już czas w którym pod dachem swych przyjaciół czuł się zupełnie jak u siebie, a podzielając ich rodzinne życie, mógł zapomnieć o swem osamotnieniu. Od dnia w którym Raynold po raz pierwszy mówił z nim o Elianie, a on uprzedził go że miłość jego napotka nieprzezwyciężone przeszkody, smutek zagościł w tej rodzinie, dawniej tak spokojnej i wesołej.

Gdzie jest teraz ten przyjaciel którego kochał jak brata? Co się stało z tą jego ufnością skłaniającą go do szczerych wynurzeń w codziennych pogadankach, które w razie nieobecności zastępowali listami?.. Co znaczyło to jego milczenie tak długie, tak zadziwiające? Jakże bolesnem było uporne milczenie o nim jego matki!

Pewnego dnia, wczasie swego pobytu w San-Remo, Armand sądził że margrabina przerwie nakoniec to tak przykre i męczące wszystkich milczenie. Czuła się w tym dniu silniejsza, i wsparta na jego ramieniu doszła do ławeczki dobrze zasłoniętej od północnego wiatru, przed którą rozciągał się jeden z tych zachwycających widoków, tak często spotykanych nad brzegami morza Śródziemnego. Eliana szła przed nimi, i gdy zbliżyli się do ławeczki okryła stryjenkę szalem który przyniosła w tym celu, sama zaś usiadła na składanem krzesełku, w swem ulubionem miejscu, pod jedną z palm wysmukłych nadających nazwę tej całej miejscowości.

Oczy jej błądziły po niezmierzonym błękicie nieba i morza, po niepewnych zarysach gór, po nieskończonym widnokręgu rozciągającym się przed jej oczyma, ale myśl jej zdawała się unosić dalej jeszcze. Pomimo że nie zwracała wiele uwagi na to co mówiono przy niej, usłyszała że stryjenka mówi o *Sorrento*.

Zadrżała jakby ktoś wypowiedział głośno o czem myślała; prócz tego ta nazwa wymówiona przez margrabinę, musiała sprawić silne na niej wrażenie. Wszakże ostani list Raynolda do matki był pisany z Sorrento, a jak zapewniała Konstancya tam miał nadal mieszkać.

Czy stryjenka zechce mówić o nim.. *o nich?..* Zaczęła się przysłuchiwać z najgłębszą uwagą, i wkrótce zrozumiała że magrabina odpowiada na zapytanie Armanda dotyczące jednego z jego znajomych, który udając się do Włoch przejeżdżał przez San-Remo.

— Do Sorrento powtórzył Armand. Jakto, więc d'Estard jedzie tam prosto, nie zamierza być ani w Rzymie ani w Neapolu?

— Przynajmniej tak mówił.

— Tym lepiej...

— Nie pojmuję, Armandzie, co cię to może tak dalece obchodzić.

— Doprawdy? odpowiedział Armand wolno i nie spuszczając z niej oczu, aby zobaczyć jakie wrażenie sprawią na niej jego słowa; łatwo zrozumieć dlaczego pragnę wiedzieć co się dzieje w Sorrento, i dlaczego cieszy mnie że będę mógł dowiedzieć się o tem od przyjaciela któremu zaufać mogę.

Nastąpiło krótkie milczenie, wciągu ktorego margrabina zdawała się walczyć z sobą, a w końcu rzekła prędko i zniżonym głosem:

— Więc nie pisuje już wcale do ciebie Armandzie?

— Wcale, odpowiedział Armand, odkąd...

Skinęła na niego chcąc mu przerwać, ale nie zważając na to mówił dalej.

— Odkąd dowiedział się że rodzina uważa go tak jakby już nie istniał dla niej: *Zastosuje się do woli matki* i zachowam się względem nich tak jak gdybym żyć przestał. Wyraził się pisząc rok temu do Myriel'a, i od tego czasu nie napisał do żadnego z nas ani jednego słowa.

Nigdy jeszcze Armand nie odważył się powiedzieć tyle, i nigdy jeszcze nie pozwoliła mu na to. Zatrzymał się oczekując na jakieś jeszcze zapytanie, lecz rzekła cicho ale stanowczo.

— Dość już, nie mówmy o tem więcej.

Zwróciła rozmowę na inny przedmiot, a Malseigne znał ją zbyt dobrze aby nie zastosować się do jej woli. Spojrzał na Elianę przysłuchującą się z najżywszem zajęciem tej krótkiej rozmowie; spuściła teraz smutnie głowę, nie tak jednakże prędko aby nie zdołał wyczytać z wyrazu jej twarzy że pozostała wierną swym wspomnieniom, i pogrążył się w głębokiem zamyśleniu. Po niejakim dopiero czasie wstał prędko, mówiąc do siebie: „Dość tego, nie rozczulajmy się nad sobą!" zbliżył się do stołu umieszczonego na środku pokoju i spojrzał na leżące tam listy, których dotąd nie przejrzał.

Zaczął je czytać: były to listy dotyczące jego własnych interesów, lub też towarzystw literackich, historycznych lub dobroczynnych do których należał. Nakoniec otworzył ostatnie i twarz zarumieniła się lekko.

— Czy być może, zawołał, abym zapomniał o tem wszystkiem? Egoizm wzrasta szybko, gdy raz wypuści korzonki.. Trzeba się poprawić i postarać aby biedni nie cierpieli na tem...

Usiadł i napisał parę listów; potem wyjął z biblioteki kilka książek, położył je przed sobą tak aby je miał pod ręką gdy mu będą potrzebne, i zabrał się do pracy.

Wieczór nadszedł, powietrze ochłodziło się i wstał chcąc zamknąć okno, gdy ktoś zadzwonił głośno.

— Masz tobie! zawołał, ktoś idzie, a ja pozwoliłem wyjść Marcelemu! Kto, u licha! mógł się już dowiedzieć że wróciłem?

Marceli wychodząc zostawił klucz w zamku, a przybywający nie tylko otworzył drzwi bez ceremonii, ale zdawał się znać doskonale rozkład mieszkania. Armand usłyszał prędkie i śmiałe kroki w przedpokoju, potem w saloniku, a nakoniec zbliżające się prosto do gabinetu. Wybiegł naprzeciwko przybywającego i otworzył drzwi. Nie omylił się: to był on...

— Raynoldzie!.. To ty!.. przybywasz nakoniec!..

XI

Armand i Raynold nie widzieli się przeszło trzy lata, a już rok minął jak nie pisali do siebie. Raynold nie był jeszcze w tym wieku, w którym rysy ulegają zmianie w podobnym przeciągu czasu, a jednak był bardzo zmieniony. Malseigne przyglądał mu się długo ze smutkiem i rozczuleniem gdy już ochłonęli z pierwszego wzruszenia i gdy, jak książka otwarta w tem samem miejscu w którem ją kiedyś zamknięto, przyjaźń ich i wzajemne zaufanie okazały się takież same, jak w wówczas gdy żegnali się z sobą.

Wyraz swobodnej wesołości znikł bez śladu z twarzy Raynolda; głęboka zmarszczka między brwiami świadczyła o jakiejś bolesnej dręczącej go bezustannie myśli, w spojrzeniu pozostała jeszcze słodycz i przenikliwość, ale wesołość zagasła. Czoło było teraz trochę wyższe jak dawniej, co może nadawało rysom jego jeszcze szlachetniejszy wyraz, ale przez co wydawał się starszym. Patrząc na niego łatwo było poznać, że gdyby nie było innych powodów, trzy lata czasu nie sprowadziłyby takiej zmiany.

Bo też rzeczywiście nie można zmienić nagle biegu swego życia, oderwać się od swej przeszłości, zboczyć z drogi wskazanej sobie na przyszłość, jak to uczynił Raynold, a następnie przebiegać swobodnie, bez trudów tę na którą wstąpił w chwili szlachetnetnego szału. Zdołał jednak na czas jakiś oddalić wszelkie inne myśli, ciesząc się tą że uchronił biedną Hersylię od grożącego jej losu. Był to czyn średniowiecznego bohaterswa, nie wytrzymujący może ostrej krytyki rozumu, ale o tyle zgodny z jego naturą że napawał go czasowo jakąś sztuczną rozkoszą, co nie dozwoliło Hersylii wątpić o jego uczuciach. W rzeczywistości Raynold nie czuł dla niej nic więcej prócz mimowolnego pociągu jaki budzi młodość, piękność, niezwykły talent, w połączeniu z ciężkiem położeniem, a w końcu litość zapanowała nad rozwagą i dokonała reszty. Co do Hersylii, nie widziała nigdy nikogo mogącego wytrzymać porównanie z Raynoldem, i od pierwszego widzenia wzbudził w niej uczucie którego siłę zrozumiała wówczas dopiero, gdy miała pożegnać go na zawsze. I wtenczas to, wtenczas właśnie, przyszłość jej uległa cudownej zmianie, i ta miłość której miała się wyrzec, stała się ubłogosławionem szczęściem jej życia.

Jakże się mogła domyśléć że nie zawdzięczała tej zmiany uczuciu odpowiadającemu jej własnym uczuciom, a nawet silniejszemu jeszcze, skoro (rozumiała to pomimo swego niedoświadczenia) Raynold wszystko poświęcił dla niej.

Przez pierwsze dwa miesiące ich pobytu w Sorrento, Hersylia zostawała pod wpływem ciągłego zachwytu, Raynold zaś dobrowolnego odurzenia. Wiosna we Włoszech jest przedsmakiem raju, w Sorrento, rajem. Nigdzie pomarańczowe drzewa pokryte kwiatami nie rozsiewają tak rozkosznej woni, morze nigdzie nie jest tak błękitne, a powietrze równie przejrzyste!.. Trudno się dziwić że Raynold pod wpływem tak upajającego otoczenia, namiętnej miłości i wdzięczności Hersylii, zapomniał na czas jakiś za jaką okupił je cenę.

Przypomniał to jednak sobie, gdy Hersylia przyzwyczajając się stopniowo do swego nowego życia, zaczęła odzyskiwać swe dawne usposobienie. Przypomnijmy sobie, że jakkolwiek była bożyszczem swego ojca, ten użalał się kiedyś przed swym ulubionym uczniem że jest leniwą; co pobudziło Raynolda do śmiechu; dziś jednak przekonał się własnym kosztem, o ile ta wada mogła być dokuczliwą i przykrą w domowem pożyciu. Biedny Biagio pomimo swego przywiązania i troskliwości, przyczynił się wiele do wyrobienia w niej gnuśności nad którą tak ubolewał. Zmuszając ją do nauk nie odpowiadających jej zdolnościom, wzbudził w niej wstręt do wszelkiego zajęcia, do wszelkiej pracy; nic nie mogło zwrócić jej uwagi prócz muzyki i poezyi i nie umiała zatrudnić się czem innem. Nie znajdowała nawet przyjemności w czytaniu tego czego lubiła słuchać i deklamowała następnie ślicznie, dzięki wybornej pamięci i dźwięczności swego głosu.

W początkach ich pobytu w Sorrento, Raynold nie uskarżał się na to tak dalece, i trzeba przyznać, że gdy Hersylia siedziała na tarasie ich ślicznej willi, patrząc z uwielbieniem na zachwycający krajobraz jaki koło niej tworzyło niebo, morze i ziemia, i nie wiedząc o tem uzupełniała go swoją tam obecnością, łatwo było będąc obok niej i myśli swe choć na czas jakiś zwrócić do niej wyłącznie. Gdyby ktoś chciał umieścić jakąś postać w podobnym krajobrazie, nie mógłby wymarzyć nic odpowiedniejszego nad tę kształtną kibić, tę twarz o klasycznych rysach, włosy ułożone w sposób zgodny z naturą i sztuką, który to wzór pozostawiły nam dawne posągi. Dodajmy do tego brak wymuszoności w postawie i ruchach, stanowiący przymiot właściwy prawie wszystkim Włoszkom, a u Hersylii połączony jeszcze z brakiem zarozumienia, a zrozumimy jak mogła silnie pociągnąć ku sobie.

Dlatego też z początku Raynold lubił tam siedzieć obok niej i czytać jej głośno też same ustępy które czytał z jej ojcem. Często przypominało to Hersylii przeszłość i piękne jej oczy napełniały się łzami, ale częściej wynagradzała go słodkim i tkliwym uśmiechem. Niekiedy znów przerywała mu nagle i kończyła sama zaczętą przez niego strofę. Wieczorem, wśród cudnej nocy włoskiej, ona znów śpiewała mu wszystko czego tylko żądał... Ktoby ich tak widział, wyobraziłby sobie z pewnością że spotkał ideał szczęścia urzeczywistniony na ziemi!.. Ludzie mylą się tak często pod tym względem, i niewłaściwie litują się lub zazdroszczą!

Jednak skoro Raynold przekonał się o zupełnej niezdolności swej pięknej towarzyszki do pożytecznego zużytkowania czasu, jak równie obojętności na wszelkie jego umysłowe zajęcia, nie tylko że zbudziło się w nim znów uczucie osamotnienia, ale ta samotność we dwoje zaczęła go drażnić i niecierpliwić.

Co prawda, zaledwie przez kilkanaście dni, w ciągu których zostawał pod wpływem tego co możemy nazwać upojeniem poświęcenia, zdołał zapomniéć o całej jego rozciągłości. Ale wkrótce myśl o kraju, matce, rodzinie, swem stanowisku w świecie, o przyjacielu, a nakoniec o tej której nie śmiał już wymówić imienia, opanowała go w połączeniu z poczuciem straty niepowetowanej, które dla duszy namiętnej stanowi najsroższą męczarnię.

Umiał jednak ukrywać swój żal i smutek, i Hersylia nie spostrzegła tego że nie jest równie szczęśliwym jak ona. Długo wystarczało jej to słodkie *farniente* wśród tej cudnej przyrody, obok tego który posiadał całe jej serce, ale kto wie czy samotność nie stałaby się w końcu i dla niej przykrą, gdyby nadzieja że zostanie matką nie stała się głównym przedmiotem jej myśli. Nie lubiła świata, który, jakkolwiek go nie znała, nie budził w niej ciekawości, ale jak w ogóle osoby gnuśne lubiła widzieć koło siebie ruch i wrzawę. Nie raz już słysząc o przedstawieniach w San-Carlo, objawiła chęć znajdowania się na nich i otrzymała nawet od Raynolda obietnicę że ją zawiezie do Neapolu, z tem jednak zastrzeżeniem że nie prędzej jak wtenczas gdy zostanie już matką. Hersylia zgodziła się na to chętnie; uczucie macierzyńskie już się w niej rozwinęło, a gdy nakoniec urodziła jej się córeczka, która stosownie do jej życzenia otrzymała imię Bianka (bo jakkolwiek Raynold nie mówił z nią prawie o swej rodzinie, wiedziała że siostra jego nosi to imię) w usposobieniu jej zaszła zupełna zmiana. Pod wpływem tego nowego uczucia i połączonych z niem obowiązków, stała się czynną, troskliwą, baczną, i można było spodziewać się że tak te jak inne przymioty będą stopniowo rozwijać się w niej i wzrastać, gdy pewnego dnia narażiła nierozważnie siebie i dziecię na jedną z tych zgubnych i nagłych zmian temperatury we Włoszech; dziecko zasłabło, a młoda matka nie poznała dość wcześnie że to początki groźnej choroby, i w kilka godzin zanim zdołała przewidzieć niebezpieczeństwo, mała Bianka żyć przestała.

Rozpacz biednej Hersylii, podwajana jeszcze myślą że ściągnęła na siebie to nieszczęście przez swą nierozwagę, nie znała prawie granic. Namiętna a zarazem pozbawiona energii, po gwałtownym wybuchu rozpaczy, wpadła w jakieś niepokojące przygnębienie i osłupienie, zagrażające pomieszaniem zmysłów i które w końcu podkopało jej zdrowie. Przyzwany doktor oświadczył że trzeba aby jak najśpieszniej porzuciła miejsce gdzie wszystko przypominało jej tak bolesną stratę, sądził że podróż i zmiana klimatu oddziałają zbawiennie na stan jej umysłu i zdrowia.

— I wtenczas to, rzekł Raynold, kończąc opowiadanie podane przez nas w krótkości, postanowiłem opuścić Sorrento i wrócić z nią do Francyi.

— Więc ona jest także tu, w Paryżu?.

— Nie; zatrzymywaliśmy się często w drodze, a zwłaszcza w tych miejscach gdzie sądziłem że może znajdę jakiś sposób rozerwania i obudzenia w niej jakiegoś zajęcia. Dziś rano zostawiłem ją w Fontainebleau. — Jutro wieczorem tu ją przywiozę.

— I masz zamiar zamieszkać stale w Paryżu!.. zawołał Armand z pomimowolną żywością.

Raynold zarumienił się i zmarszczył brwi.

— Nie, Armandzie, odpowiedział z dumą i wzruszeniem. Nie chcę wystawiać Her... nie chcę wystawiać *mej żony* na spotkanie z tymi, którzy mogli powziąść o niej ubliżające wyobrażenie... Gdy wiadomo wszystkim, mówił dalej z goryczą, że cała rodzina wyrzekła się kogoś z powodu jego ożenienia, łatwo przypuścić że zrobił wybór wstyd mu przyprzynoszący. Niech i tak będzie... ludzie mylą się często i nie ma co przywiązywać do tego zbyt wielkiego znaczenia. Co do mnie, nie poniżę się do tego stopnia abym miał się usprawiedliwiać i stawać w obronie Hersylii, ale też potrafię ją uchronić tak od pogardy jak od od wszelkiej nieproszonej opieki.

Armand odnalazł z przyjemnością w tych słowach Raynolda jego dawniejszą żywość; przekładał to nad ten wymuszony spokój jaki zachował w ciągu całego opowiadania, a pod którym ukrywał się ciężki smutek.

(*D. c. n*).

Opis do N-ru 10.

(Dokończenie.)

N. 41. Poduszka do noszenia dziecka, związywana z boku.

Dopasować ją można podług formy danej przy ryc. 42 z tą tylko różnicą że wierzch nie składa się z dwóch części ale z jednej, zajmującej całą szerokość poduszki, do której przywiązuje się na tasiemki. Haft rzucony fantazyjnie odrobiony jest ściegiem płaskim i sznureczkowym, bawełną białą lub kolorową, bogaty garnirunek dany z jednego boku, układa się z kolorowych kokard i koronki 6 cent. szerokiej.

N. 42. Poduszka do noszenia dziecka. Krój na arkuszu N. XX, fig. 60.

Powłoczka uszyta z białej repsowej piki, garnirowana marszczoną haftowaną falbanką 5 cent. szeroką; spodnią połowę kraje się podług fig. 60a, w dwóch częściach zaokrąglonych w górze, z boków zeszytych z sobą, a dołem wsuwa się materacyk. Niższa część poduszki która się zakłada potem na wierzch i zastępuje kołderkę, kraje się podług litery b na fig. 60 i przywiązuje w górze na tasiemki a u dołu zaobrębia i przyszywa do części a. Boki poduszki trochę namarszczone krają się podług. lit. c; do marszczenia podszyte są listewki do nawleczenia tasiemek. Przy prawym boku falbanka dana wzdłuż i u góry przy lewym idącym pod spód, tylko u góry. Bandaże batystowe związywane na kokardy są po 48 cent. długie, po 6 c. szerokie i przyszywają się na przemarszczeniu.

N. 43. Ubranie dla piastunki.

Szeroka fałdowana z prostych brytów spódnica, uszyta z materyału wełnianego w paski czarne z ponsowym, jest szeroko obłożona u dołu gładkim czarnym materyałem, z którego również uszyty staniczek z krótkiemi bufiastemi rękawkami, zapięty z boku na guzik, oszyty pletnią czarną lub aksamitką. Pod szyją kreza z szerokiej nicianej koronki, spięta kokardą ponsową; fartuszek kretonowy z ponsowym wyszyciem i koronką. Na głowie czepeczek z koronki nicianej.

N. 44 i 35—36. Kolebka z pościelą i firanką. Patrz ryc. 14 w N-rze 9.

W N-rze 9 daliśmy kolebkę bez przybrania i pościeli dla dziecka, a w N. 10 przedstawiliśmy kolebkę na złoconych nóżkach i z takimże prętem do założenia firanki. Boki kolebki kryją się całkowicie pod bufowaniem z różowej materyi garnirowanej siatkową koronką. W nogach widzimy draperyę podpiętą kokardami, ozdobioną wielkim monogramem haftowanym ściegiem płaskim jedwabiem vicil-or. Firanka z kanwy de congres, koloru créme, wyszyta w kolorowy rzucik, u dołu zdobna wszywką i koronką, może być podwleczona różową satynką. Ryc. 35—36 przedstawiają pierzynkę i poduszkę, zapięte oryginalnym wykładem w ząb ogarnirowany falbanką, z kokardą kolorową na środku.

N 47—48. Ubranie dla dziewczynki lat 3—5.

Uszyte z mięsistego wełnianego materyału, granatowego koloru, zdobne patkami z szerokiej pletni otoczonemi wyszyciem z sutaszu tego samego koloru. Takież patki dane wierzchem kontrafałdów na spódniczce, wyglądającej na 26 c. z pod paletocika. Przy pleckach dane także fałdowanie 12 c. długie, 110 szerokie, naszyte patkami; długie przody szeroko otwarte dopełnione kamizelką z kieszonkami. Kołnierz marynarski.

N. 50. Suknia ze stanikiem z kamizelką. Krój stanika podług N. XIII, fig. 31—35 na arkuszu z krojami, draperya podług N. XIX, fig. 59.

Układ draperyi, jaki przedstawiliśmy na ryc. 50 odpowiedni jest dla osób szczupłych i nadaje się zarówno do gładkich jak deseniowych materyałów. Spódnica o ile widoczna z pod draperyi jest zaplisowana w drobne fałdy. Draperya składa się z przodu z dwóch prostych brytów, wymierzonych podług lit. a na fig. 59 które z jednego boku wpuszczone są sfałdowanym tylnym brzegiem w szew boczny; górny brzeg zostawiony gładko na 19 cent., dalej sfałdowany jest ściśle wraz z dalszym brzegiem bocznym i przyszyty do paska od sukni tak aby obie części draperyi szeroko zachodziły na siebie. Litera b oznacza bryt tylny, przyszyty u dołu szwem odwracanym, na spódnicy, wyżej podpięty podług znaków. Stanik dopasowywa się podług kroju danego na r. 1 w N. 9, a kamizelka aksamitna, z boków otoczona szalowym kołnierzem, odznaczona jest liniją prostą na fig. 31, fig. 31A daje formę kołnierza.

N. 51. Kosz do papierów.

Kosz 54 c. wysoki odznacza się bardzo kształtną formą i pleciony jest ze złoconych pręcików, przewlekanych wstążeczką; brzeg dolny i górny fantazyjnie wygięty objęte są pluszem i zakończone torsadką trzcinową. Boki koszyczka jak to widzimy na r. 51 ozdobione są haftem, wyszytym na płótnie kanwowem, kolorową filozelą i włóczką crewel. Naszycie szerokiej kolorowej frendzli, rozdziela ścianki na kwaterki nierównych rozmiarów. Na rogach dane ozdobne kwasty z kulkami.

tego samego koloru i koronką żółtawą 7 c. szeroką. Zestawienie części kroju wskazuje maleńki format fig. 6a do 7a i fig. 8. Plastron aksamitny wzdłuż przodów podchodzi pod brzegi wycięte w patki, oszyte koronką, która w zagłębieniach namarszczona jest wachlarzowo. Plecy krają się na długość zwykłej baskiny i dopełniają brytem tworzącym tren, zmarszczonym u góry jak na fig. 10B. Kołnierz daje fig. 10. Guziki ażurowe metalowe.

N. 53. Suknia z vêtement.

Vêtement kraje się najpierw na długość stanika z baskiną, poczem dopełnia długiemi gładkiemi częściami, stanowiącemi dolną połowę: na przyszyciu przodów dane wielkie kieszenie, a plecy są lekko zmarszczone i podchodzą pod baskinę stanika ściętą bawetowo; podpięcie dane na tasiemkach przyszytych od spodu. Przyozdobienie stanowią rozety wyszyte sutaszem i piękne guziki; dół vêtement oszyty plisą z wypustką jedwabną. Kostjum ten był z ciemno popielatego sukienka w paski, wyszyty czarnym sutaszem.

Opis do N-ru 11.

N. 1—2. Ubrania domowe.

N. 1. Suknia ozdobiona patkami.

Odrobiona była z angielskiego wełnianego materyału, w drobną kratkę czarną i białą; z przodu na spódnicy dane było 5, jeden na drugi zachodzących wolantów 13 cent. szerokich, w kontrafałdy układanych, które w górze zajmowały 25, u dołu 45 cent. szerokości. Dolny brzeg spódnicy oszyty w koło węższą falbanką. Z boków dane po 4 długie patki objęte aksamitną wypustką, u dołu skośnie spiczasto ścięte, 8 takich patek 23 cent. długich jest przyszyte z tyłu na spódnicy, a w górze nad niemi upięta draperya z bryta 86 cent. szerokiego a 150 długiego z boków do 72 c. sfałdowanego. Draperyę szalową z przodu układa się z bryta 84 cent. szerokiego a 105 długiego, szwem odwracanym na spódnicy przyszytego. Przy staniku z okrągłą baskiną dane u dołu obłożenie z aksamitu czarnego, 16 cent. szerokie, na które zachodzi w skośne spiczaste zęby wycięty materyał stanika. Do otwartego, szalowego kołnierza dodane części kamizelkowe aksamitne, 21 cent. długie a 19 szerokie, w górze stojącym kołnierzykiem zakończone. Mankietki aksamitne, agrafy z czarnego sznurka, guziczki czarne.

N. 2 i ryc. 28 w N. 12. Suknia z krótką draperyą.

Przód i boki spódnicy, do sukni z czarnej surah, zagarnirowane były do 56 cent. wysokości, trzema plisowanemi falbankami, z których dolna dana w koło sukni, a górna najszersza jest przez środek przeszyta. Górną, bufiastą draperyę z przodu upina się z bryta prostego, którego miary dajemy na małym modelu r. 28 w N. 12, pod literą a, któren u dołu przyszywa się szwem odwracanym nad plisowaniem, z boków zakłada w dwie fałdy obrócone do dołu i wszywa pomiędzy szwy boków i bryta tylnego; brzeg górny składa się w cztery podwójne kontrafałdy i wszywa w pasek od spódnicy. Pod każdą kontrafałdą podnosi się draperyę w górę i przyczepia bufiasto do spódnicy, w sposób wskazany na ryc. 2. Tylną draperyę upina się z bryta b. Stanik bawetowy jest z tyłu sznurowany.



N. 1—3. Ubrania domowe i spacerowe.

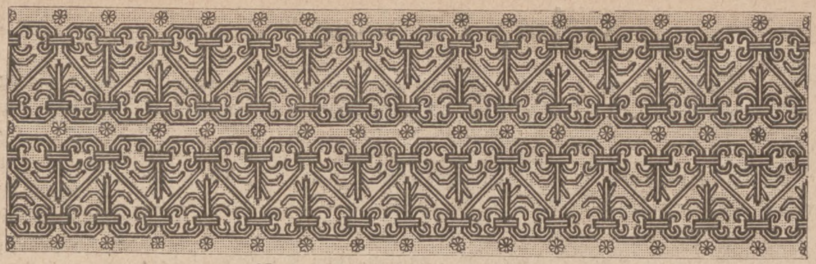
N. 1. Suknia ozdobiona patkami. N. 2. Suknia z krótką draperyą. N. 3. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem.

N. 52. Ubranie negliżowe formą princesse. Krój i plecy na arkuszu z formami N. II, fig. 6—10B.

Wspaniałe to ubranie odrobione jest z kosztownej deseniowej materyi wełnianej, koloru zielonawo niebieskiego, przerabianej w gałązki złote, przybranej aksamitem

N. 3. Ubranie spacerowe z długim płaszczykiem.

Czarny aksamitny płaszczyk obłożony jest pluszem naśladującym pióra i oszyty frendzlą sznelową. Plecy w kształcie krótkiej peleryny kraje się razem z rękawami, a dopełnia je bryt prosty w górze zmarszczony i od spodu do pleców przyszyty. Przody krajane razem z szerokiemi boczkami podchodzą pod rękawy a z tyłu prawie schodzą się pod brytem tylnym.



N. 8. Szlak. Patrz ryc. 6 i 9.



N. 4. Suknia ze stanikiem z fałdowaną baskiną.

N. 4. Suknia ze stanikiem z fałdowaną baskiną.

Do otwartych, kamizelką dopełnionych przodów i boczków stanika, dodana jest fałdowana baskina; przy krajaniu pleców dodaje się poniżej wcięcia w pasie materyału na szerokie kontrafałdy. Ładny garnirunek spódnicy stanowią dwa wązkie, drobne i jedno bardzo szerokie plisowanie na które spuszczone są długie, szerokie patki. W górze dodana krótka fartuszkowa draperya, a z tyłu sute upięcie z bryta prostego. Bardzo zdobi suknią w kratę, plisowanie i kamizelka z gładkiego materyału.



N. 6. Przykrycie na fotel. Haft na płótnie. Patrz ryc. 8—9.

N. 5. Ubranie z vêtement.

O ile spódnica widoczna jest z pod vêtement pokrywa ją nadmarszczona falbana aksamitna i wstawiony z boku pas aksamitu 25 cent. szeroki. Z boku zapinane kaszmirowe vêtement łatwo można przykroić podług dobrej formy stanika i modelu przedstawionego na r. 5. Z prawego boku przednią i tylną część draperyi odpowiednio przyfałdowaną, zeszywa się z sobą, z lewego pozostaje otwarta, a do brzegu draperyi tylnej dodana jest część wachlarzowo sfałdowana i na kryte haftki do spódnicy przyczepiona, którą układa się z oddzielnego, 20 cent. szerokiego kawałka kaszmiru. Do zwierzchniej części rękawów dodaje się do długości materyału na dwie lub trzy fałdki poprzeczne, zachodzące na obłożenie z aksamitu



N. 7. Koszyczek na rękawiczki.

N. 6 i 9. Fotel z bogatym przykryciem.

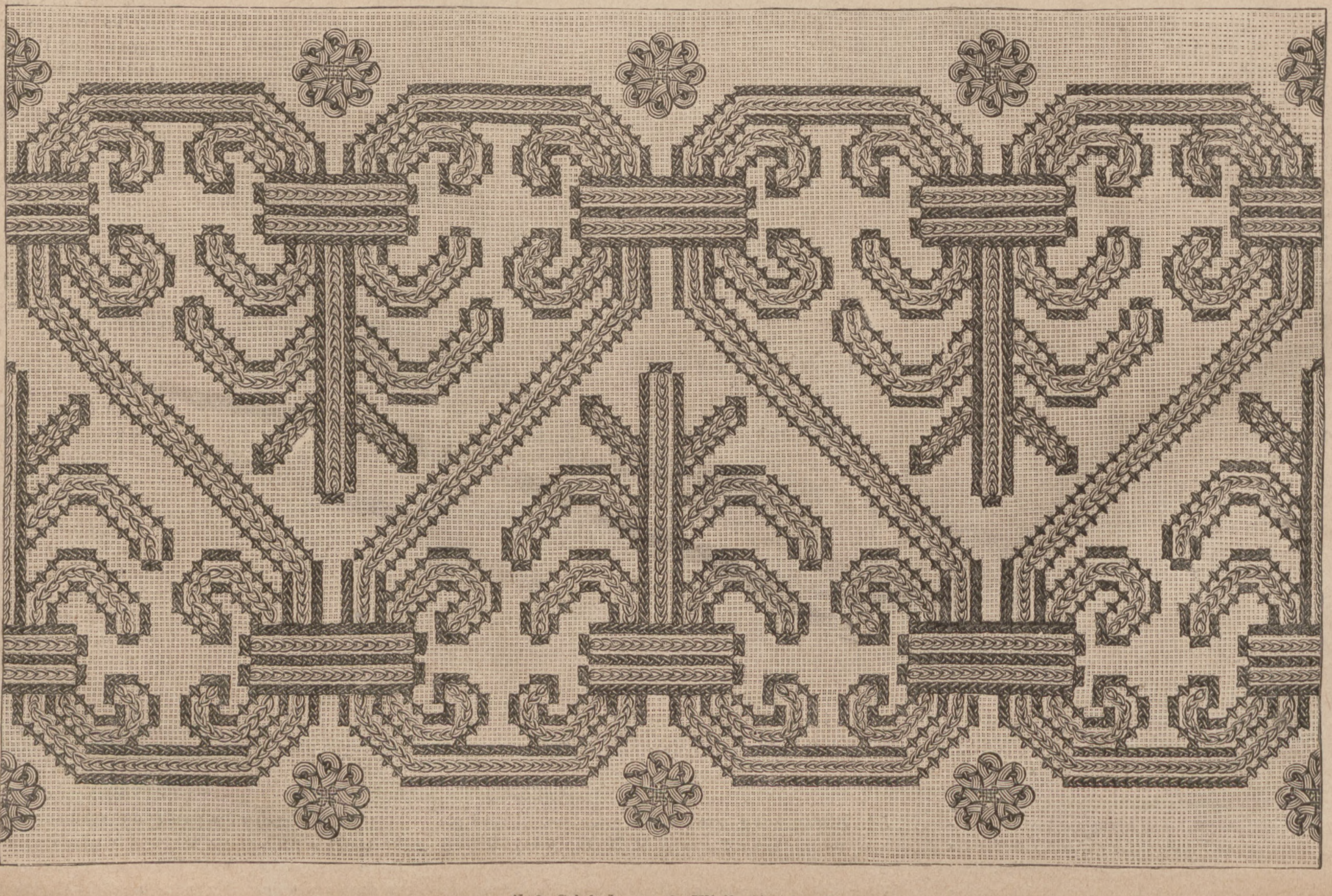
Na fotel obity gładkim pluszem szafirowym, ozdobiony bogatą szeroką frendzlą i kwastami, zarzucona jest zbytkowna serweta kwadratowa z błękitnego adamaszku z fularową podszewką, ozdobiona szlakiem haftowanym i frendzlą srebrną. Szlak haftuje się na płótnie kanwowem żółtawem ściegiem plecionym, krzyżykowym i łańcuszkowym. Częśc deseniu w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 9; kontury robione są jedwabiem czarnym kordonkowym, ściegiem krzyżowym plecionym i krzyżykami, a rzędy środkowe nitką srebrną, ściegiem łańcuszkowym. Gwiazdki z 8 listków dane po brzegach deseniu, układane są z trzech nitek srebrnych, płasko jedna przy drugiej przewijanych; każden płasko ułożony listek przeszyty jest przez wierzch ściegiem czarnym w środku przeszytym małym ściegiem poprzecznym. Środki rozetek zapełnione są krzyżującemi się point d'esprit. Na ryc. 8 dajemy w zmniejszeniu taki szlak dwa razy zestawiony, co stanowiłoby jeszcze wspanialszą ozdobę.



N. 5. Suknia z vêtement.



N. 10. Linija ozdobna.



N. 9. Szlak do ryc. 6. Wielkość naturalna.



N. 11. Zakładka robotą wiązaną.

N. 7 i ryc. 6 w N. 12. Koszyczek na rękawiczki, ozdobiony aplikacyą i frendzlą macramé.

Koszyczek formą szkatułki, mający 36 cent. długości a 10 wysokości, pleciony z cienkiej ciemno bronzowej trzcinki, wyłożony był w środku ciemno ponsowym atłasem. Górny brzeg koszyczka i brzeg płaskiego wieka objęte 2 cent. szeroką listewką z aksamitu oliwko-



N. 12. Suknia z upięciem à panier.

wego; wierzch wieka zdobi aplikacya z płótna niewarowego na tle ciemno ponsowym aksamitnem; kontury i przyszycie aplikacyi stanowi sznureczek srebrny, rzadko przydziergany kordonkowym jedwabiem ponsowym, którym robione są także supełki na tle płóciennem.

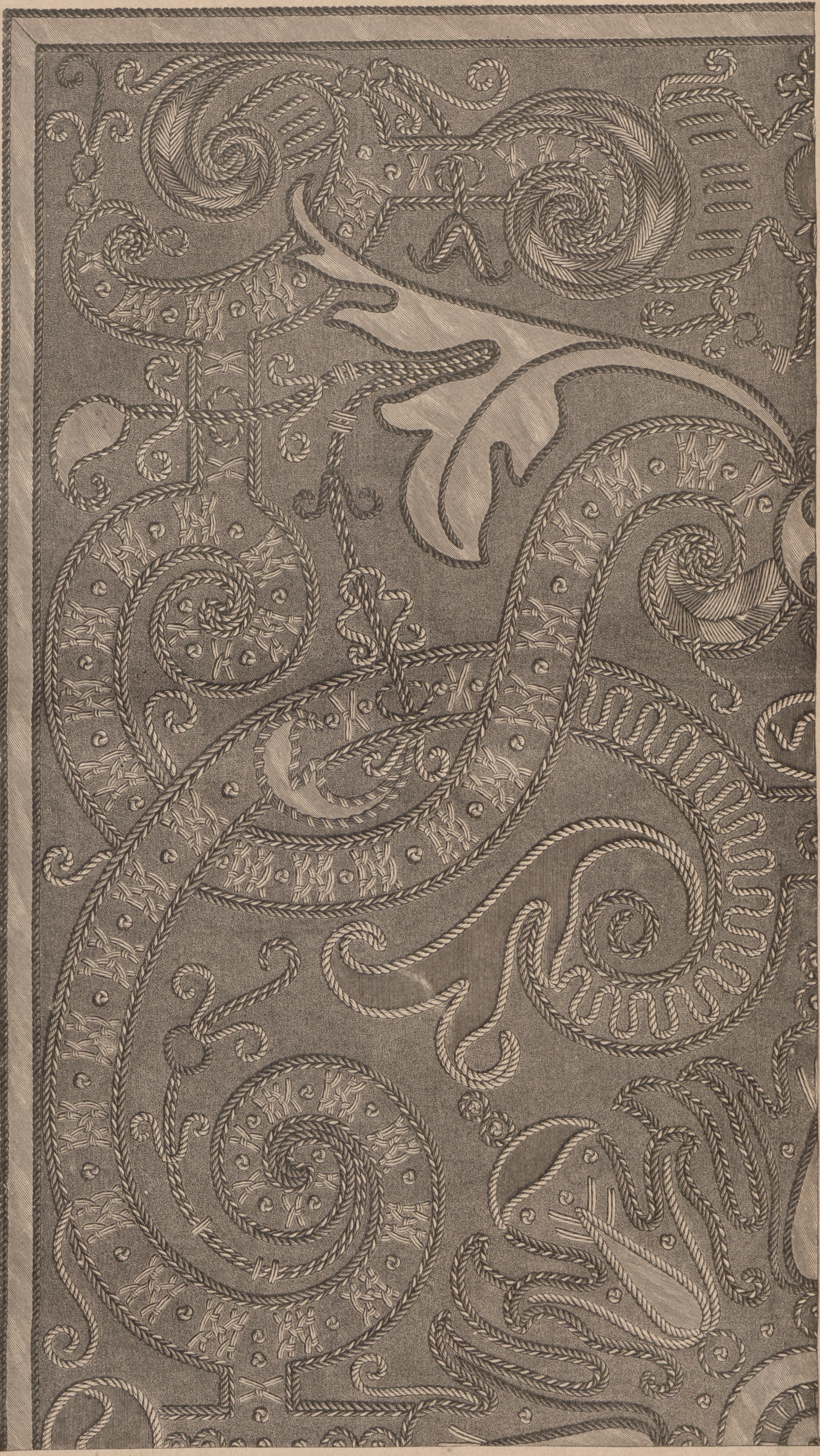


N. 13. Suknia z podpiętą baskiną.

W N. 12 na r. 6, damy deseń aplikacyi. Boki koszyczka zdobi frendzla „macramé“ wiązane z kordonku ponsowego i oliwkowego. Oszycie szlaku, uszy i agrafa do zamykania ze sznura srebrnego.

N. 13. Suknia z podpiętą baskiną.

Na modelu suknia z voille religieusse stalowego koloru, ozdobiona



N. 14. Część deseniu na poduszkę. Patrz r. 32 w N-rze 9.

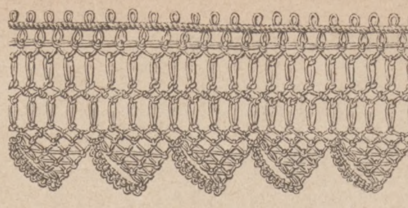


N. 16. Żabot kamizelkowy z gazy i koronki.



N. 18. Sukieneczka naszyta pletnią.

była pluszem ciemno bordo. 61 cent. szeroki garnirunek spódnicy splisowany był w fałdki 1 i pół cent. szerokie, tylko na 20 c. od dołu wolno puszczone; szalową draperyę z przodu układa się z bryta 100 c. szerokiego; na tylne upięcie potrzeba bryta 130 c. długiego i tylez szerokiego. Tylną część baskiny kraje się razem z pleckami, ale do przodów i boczków dodaje się oddzielną przymarszczoną baskinę, mającą 20 cent. szerokości a dwa razy tyle długości co dolny obwód przodu i boczka. Baskinę podszywa się pluszem i zwęża skośnie od dołu do przodu, do 12 c. szerokości, z tyłu podnosi się ją w górę sposobem na ryc. 13 wskazanym i nieznacznie przyczepia na pleckach, tak ażeby widać było podszewkę pluszową. Mały stojący kołnierzyk i mankiety 9 cent. wysokie pluszowe.



N. 15. Koronka armeńska.



N. 20. Suknia balowa ze skośną draperyą. N. 21. Suknia z fałdowaną spódnicą.



N. 19. Sukieneczka z podwójną spódniczką.



N 17. Żabot kamizelkowy z hiszpańskiej koronki.



N. 22. Suknia z tuniką.



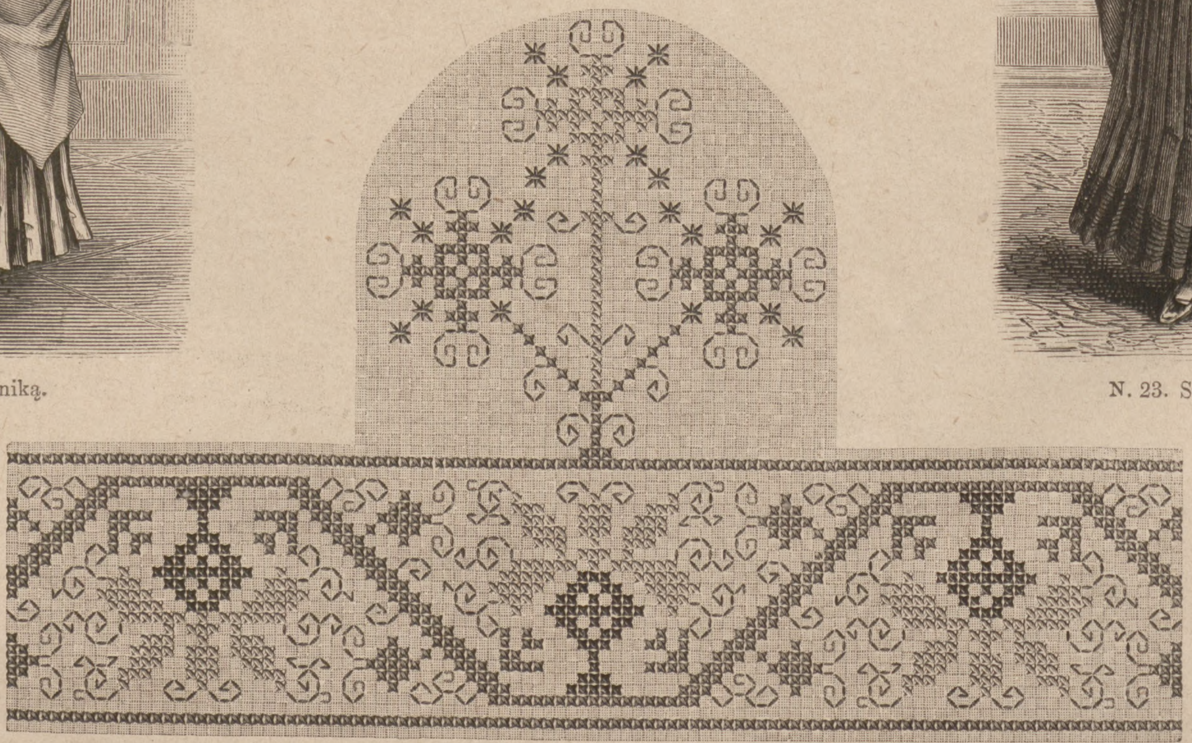
N. 23. Suknia wyszyta sutaszem.

N. 16. Chusteczka kamizelkowa z jedwabnej gazy i koronki.

Żabot układa się na kawałku sztywnego tiulu, mającym 42 cent. środkowej długości, 16 górnej szerokości, na wcięciu w pasie zwężonym do 4, a dalej znów rozszerzonym do dołu do 7-miu cent. W górze podcina się tiul kolisto 9 cent. głęboko na wykrój szyi, tak ażeby trzymał 24 cent. obwodu; następnie pokrywa foremkę żółtawą gazą w paski, skośnie wziętą, w środku daną gładko, a po bokach złożoną w trzy fałdy 2 i pół cent. szerokie, a 1 i pół c. jedna na drugą zachodzące, w pasie z obydwóch brzegów do środka ściśnięte. Na środku nagarnirowana wachlarzo w dwa rzędy koronka 8 cent. szeroka; w koło szyi dany pasek 3 cent. szeroki, pokryty pluszem amarantowym w paski a spięty z boku pod kokardą ze wstążki „ottoman", przepiętą klamrą złoconą.

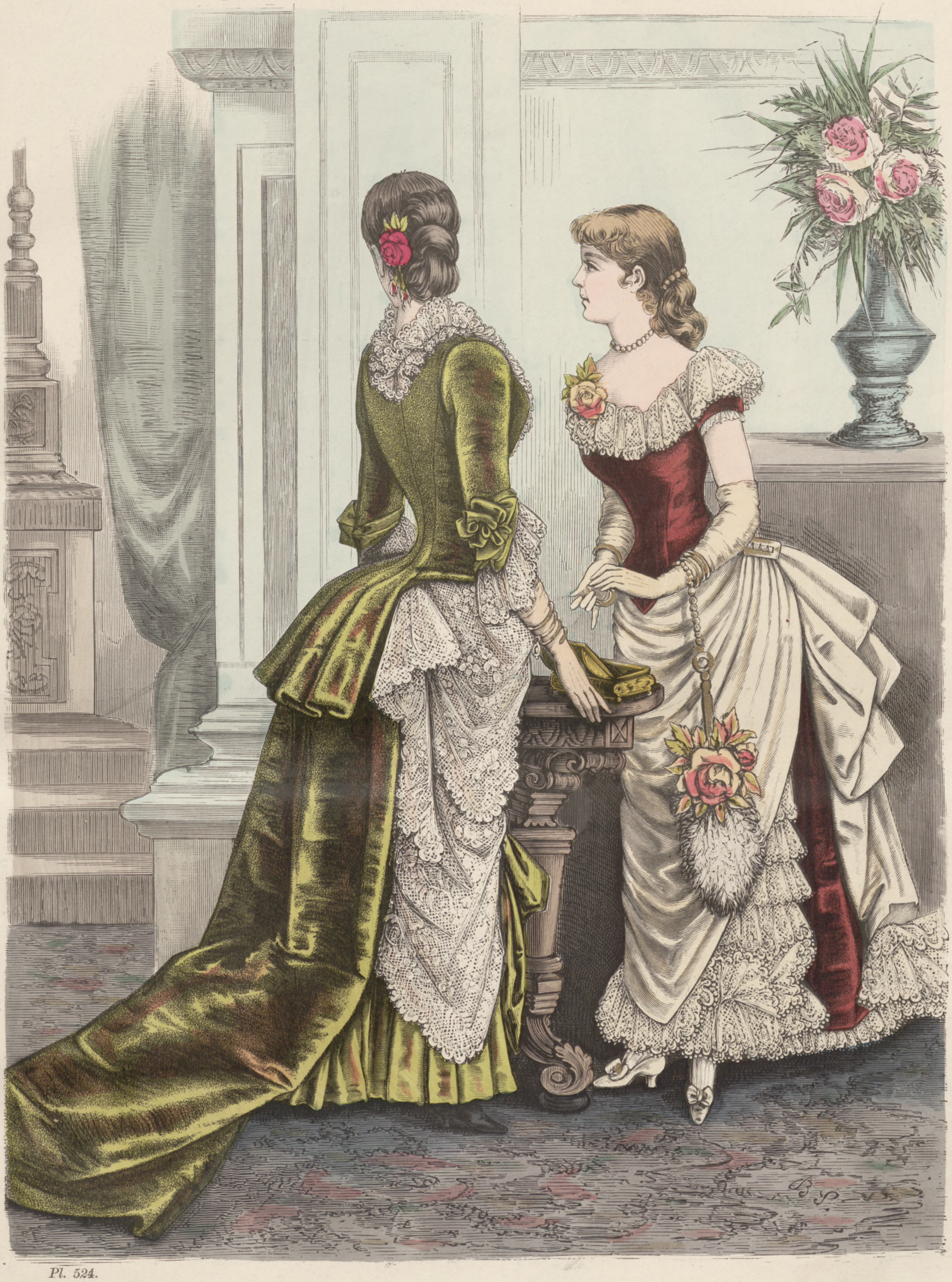
N. 17. Chusteczka kamizelkowa z koronki hiszpańskiej.

Na foremce ze sztywnego tiulu mającej w górze 12 cent. szerokości a 50 długości, naszyte jest 6 rzędów 10 cent. szerokiej koronki hiszpańskiej, w fałdy złożonej i jedna na drugą zachodzącej, u dołu w sposób na ryc. 17 wskazany przewiązanej wstążką w atłasie, 4 cent. szeroką. Dwa trójkąty białej jedwabnej gazy, mające 23 c. środkowej szerokości, a w prostych brzegach po 36 c. długości, oszywają się z brzegów skośnych koronką, przyszywają jednym prostym brzegiem do chusteczki, drugi obrócony w górę składa się z siedmiu równych fałd, jedna na drugą zachodzących do środka zwróconych, podcina na wykrój szyi 3 cent. głęboko, a brzeg skośny układa się w sposób wskazany na ryc. 17. Wykrój szyi oszyty paskiem aksamitnym 3 i pół centymetra szerokim.



N. 24. Deseń na ścieg krzyżykowy.

(D. n).



Pl. 524.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.